

CLASSIC & SF

KARL E. WAGNER

# KANE

Cień Anioła Śmierci



PHANTOM PRESS

**Karl E. Wagner**

**KANE**  
Cień Anioła Śmierci

*A gdy odwróciłem się, nie ujrzałem nikogo, Tylko własny cień,  
Cień anioła śmierci.*

# Spis treści

## STRONA TYTUŁOWA

### MIRAŻ

#### PROLOG

#### I LAS NOCĄ

#### II PO DRUGIEJ STRONIE LASU

#### III ALTBUR KEEP

#### IV WŁADCZYNI ALTBUR KEEP

#### V OTCHŁAŃ MIRAŻU

#### VI POWRÓT

### ZIMNE ŚWIATŁO

#### PROLOG

#### I ZIEMIA ŚMIERCI

#### II ŚMIERĆ WRACA DO DERMONTE

#### III KRĘGI NA WODZIE

#### IV KRZYŻOWIEC W SEBBEI

#### V OSACZYĆ TYGRYSA W JEGO KRYJÓWCE

#### VI MIECZ ZIMNEGO ŚWIATŁA

#### VII RANIONY TYGRYS

#### VIII ZGŁADZIĆ SŁUGĘ ZŁA

#### IX ŚMIERĆ UKRYTA W CIENIU

#### X KRAINA UMARŁYCH

# MIRAŽ

## PROLOG

Śmierć kroczyła w blasku popołudniowego słońca. W ciszy, przerywanej jedynie przekleństwami, gromada najemników uciekała zakurzoną, górską drogą. Ponad nimi słońce prażyło okrutnie i niemiłosiernie nawet rzadki las nie chronił przed jego żarem, palącym wynędzniałych zbiegów. Potykając się na rozpalonych kamieniach, wlekli się wciąż dalej i dalej, zdesperowani koniecznością ucieczki. Kurz tłumiał ich chrapliwe oddechy, brudem pokrywał ich spocone, pokrwawione ciała.

Pięćdziesięciu bojowników przegranej sprawy. Ludzie, którzy ryzykowali życie dla bękartu – bo przecież Talyvion był nieprawnym bratem Jasseartiona, wykwintnego króla Chrosanthe. Tak, Jasseartion zdołał udowodnić, że mimo całej swojej próżności – nie jest głupcem; miał prywatną armię i szpiegów, działających skrupulatnie i drobiazgowo, a do tego jego poddani byli bardzo lojalni. Doprowadził w końcu do tego, że Talyvion siedział jęcząc w niewielkiej klatce, zwieszającej się z belki tej samej sali tronowej, ku której niegdyś wabiła go ambicja. Teraz rozsypane po kraju resztki jego pobitej armii uciekały przed niezmordowanymi żołnierzami i mściwymi poddanymi Jasseartiona. Za każdego zabitego wyznaczono nagrodę.

Premia za głowę Kane'a była bardzo wysoka. Był on ostatnim oficerem Talyviona, który pozostawał nieuchwytny nawet dla skrupulatnej służby Jasseartiona. Wprawdzie, dopiero niedawno przyłączył się do tajnego stronnictwa, lecz był tam postacią szczególną, o niezwykłym talencie tak do walki otwartej, jak i do ukrytej intrygi. Stąd władza Chrosanthe mniemał, że Kane jest zdecydowanym, wręcz zaciekłym wrogiem jego poddanych i niego samego. Proklamacja królewska zapewniała zbiegowi pełne przebaczenie i więcej złota, niż Zdołałoby zarobić w ciągu rocznej służby wojskowej. W ten sposób, król chciał wzbudzać wśród zbiegów zaufanie do swej opiewanej sprawiedliwości; faktycznie jednak proklamacja stanowiła tylko kuszącą przynętę.

Kane zdawał sobie z tego sprawę, postanowił, zatem być bardzo ostrożny. Ukrył twarz pod zakrwawionymi bandażami, wypchał brzuch do niezwykłych rozmiarów i okrył się brudnym, obszernym płaszczem. Tak przebrany wmieszał się między uciekających zbiegów mając nadzieję, że ani ścigający ich żołnierze Jasseartiona, ani jego własna świta nie rozpoznają w brudnym, otyłym piechurze arystokratycznego cudzoziemca, który przyłączył się do Talyviona niedługo przed zesłaną mu przez zmienny los klęską.

Rozgrzane letnie powietrze wypełnił nagle świst lecących strzał. Zasadzka! Oddział armii Jasseartiona zaczął się wśród drzew i skał, zamykających zakurzoną górską drogę.

W furii, czując się jak owca złapana w pułapkę, Kane rozchylił okrycie, jego prawica niezdarnie sięgnęła w wilgotne fałdy płaszcza po miecz. Głęboka rana, jaką odniósł w ostatniej bitwie sprawiała, że wciąż nic władał jeszcze w pełni sprawnie lewą ręką. Normalnie nie przeszkadzało mu to, ale wiedział, że będzie miał problemy w chaotycznej walce, do jakiej za chwilę miał stanąć.

Ostatnia strzała poszybowała w kierunku osaczonych najemników i jednocześnie wypadli na nich żołnierze króla. Wielu z nich już skręciło na rozpaloną górską ścieżkę. Zdesperowani uciekinierzy stanęli twarzą w twarz z napastnikami. Pierwszego wroga, który się zbliżył, Kane odrzucił w tył miazdzącym uderzeniem miecza. Zaraz potem pojawił się następny atak: Kane dostrzegł, jak siekiera napastnika zatacza nad nim świetlisty łuk z impetem uskoczył w bok. Człowiek z siekierą upadł, zaraz jednak zerwał się i ponownie podniósł broń. Kane zaklął w bezsilnej złości. Gdyby mógł swobodnie władać lewą ręką, napastnik już byłby wypatroszony. Kane starał się stanąć przodem do człowieka z siekierą, kiedy z lewej strony wpadł na niego inny żołnierz. Cudem zdołał uniknąć tego nagłego ataku i jednocześnie złapać siekierę na ostrze swego miecza. Szybki ruch dłonią i topór wypadł ze zranionej ręki przeciwnika. Zaraz potem Kane ponowił atak, wpychając mu miecz między żebra.

Sekunda na uwolnienie miecza. Zbyt długo. Kolejny atakujący żołnierz był już o krok. Kane zmusił się, aby lewą ręką pochwycić dłoń przeciwnika. Uczynił to jednak niezdarnie i wrogi miecz wbił się w niego głęboko, przecinając płaszcz i gruchocząc ukrytą pod nim zbroją. Wstrząsnęła nim fala bólu. Upadł, silną dłonią trzymając wciąż ramię żołnierza. Pociągając go za sobą na ziemię, w ostatniej chwili zdołał przebić go mieczem. Poczł na sobie ciężar umierającego napastnika i w tym samym momencie nieprawdopodobny cios przygniółł jego czaszkę. W czarnej fali agonii stracił świadomość, nie wiedząc już, czy został celowo ugodzony, czy też kopnięty przypadkiem przez inną parę walczących.

# I LAS NOCĄ

Kiedy Kane ocknął się, była chłodna noc. Z wysiłkiem zsunął się z ciała innego żołnierza. Ziemia pod nim kołysała się, przed oczami latały rozmazane plamy, huczący ból rozsadzał mu czaszkę. Zagryzając wargi, dźwignął się na kolana. Wokół niego leżeli tylko zabici.

Ostrożnie rozwinał ciężkie bandaże spowijające głowę i delikatnie badał ją palcami. Musiał to być silny cios, lecz opatrunki i gęste włosy Kane'a złagodziły go. Zdołał wstać. Ze wstrętem odrzucił okrywający go płaszcz i szmaty, którymi wypchał brzuch. Okazało się, że pancerz zatrzymał uderzenie miecza, ale siła ataku wgniotła ogniwa zbroi w jego bok, raniąc go boleśnie.

Żle się dzieje wokół – rozmyślał Kane, raz jeszcze przeklinając decyzję uciekania z motłochem, a nie samemu. W tych okolicznościach miał i tak dużo szczęścia, że zdołał uciec po katastrofie konspiracji Talyviona, nie mówiąc już o przeżyciu tej zasadzki. Była pełnia. Księżyc dopiero, co pojawił się na niebie, jasno oświetlając pobojowisko. Kane widział wyraźnie ten niezwykle obraz.

Cisza. Spokój. Śmierć. Zimne światło księżyca padało na dziwną panoramę białych kształtów, porozrzucanych niedbale po czarnej ziemi. Żaden podmuch wiatru nie zakłócał tego bezruchu. Czarne drzewa rzucały cienie na każdego z umarłych czy światło księżycowe może je tworzyć? Obok niego młoda twarz z zastygłym grymasem ust – czy śmierć z rozerwanym brzuchem była dlań upragniona? Ktoś zadał Kane'owi kilka już zapomnianych pytań, gdy nadszedł atak. Czy był to właśnie ten młodzieniec? Być może tak.

Nocna poświata czyniła tę scenę odrealnioną; twarze, które w blasku słońca zdawały się wyraźne, prawdziwe – teraz stały się fantastyczne i puste.

Kane nie był nawet pewien, czy ból w jego umęczonym ciele był realny.

Gdzie teraz jestem? – zastanawiał się, usiłując przywołać jakąś świadomą myśl. – Na ziemiach pogranicza Chrosanthe, w nie zasiedlonym obszarze królestwa. Chrosantycjycy unikali tego leśnego regionu, dlatego właśnie uciekinierzy podążyli tą drogą. Kolejny zły pomysł – stwierdził Kane. Mściwy Jasseartion ignorował niechęć swych poddanych do tego szczególnego zakątka państwa. Tym bardziej najemnicy Talyviona nienawidzili tych ziem po nieudanym zamachu stanu.

Kiedy zdołał wstać, drzewa zamigotały mu przed oczami. Cieszył go chłód nocy łagodzący ból, za dnia bowiem prażące słońce czyniło śmiertelnym każdy wysiłek. Kane stwierdził, że nie powinien tu zostać. Żołnierze mogliby z nadejściem poranka wrócić po swych zabitych towarzyszy – a już z pewnością po to, by ograbić ciała umarłych. Jedynie zmrok i lęk przed tym regionem powstrzymywały ich od owego swoistego rytuału.

Widma śmierci. Duchy pożerające ludzkie ciała. To było to. Kane przypomniał sobie niezwykłą, przewrotną wojnę prowadzoną przez Chrosantycjyków ponad dwa wieki temu. Walki podzieliły wówczas te ziemie. Zwycięska klika bezwzględnie wymordowała wielkich panów i ich poddanych. Tak, było to dzieło przodków Jasseartiona. Obszar ten nigdy nie został ponownie zasiedlony. Krążyło wiele dziwnych legend o zwycięzcach wojny, napadających na przybyszów, aby utrzymać władzę – nad nie pogrzebanymi kośćmi pokonanych.

Dziwna rzeź przywabiła tu złowieszcze demony – lub być może uczyniła nimi paru pozostałych przy życiu, głodujących ludzi. Kane rozmyślał nad tym. Tak, miał wszelkie powody, aby opuścić to miejsce jak najszybciej. Gdyby tak mieć konia!

Bardzo zmęczony, odnalazł swój miecz i pokuśtykał wzdłuż białych kształtów, ułożonych na ciemnej ziemi jak dziwny wzór. Czasem stopy jego trafiały na ścieżki, odznaczające się ciemniejszą linią. Przed oczami zjawiała mu się jakaś plama. Drżąc ze strachu i bólu wstrząsnął głową, lecz istniała ona nadal. Wielka skała za drzewami wabiła go; Kane wsparł się na nią, półleżąc jak na



jednym z wielu tronów, które fortuna podsuwała mu przez lata i które później zabierała ponownie. Na Thoema! Tak wiele długich lat! Czy jakikolwiek człowiek mógłby znieść ich ciężar?! Przez chwile gorzkie wspomnienia przesunęły się w jego zbolałej głowie, skazanego na wieczną wędrówkę, banitę rodzaju ludzkiego.

Rozmyślenia – gdy ucieczka powinna być jego jedynym problemem. Majaki. Nocne głosy chwiały się jak muzyczne kadencje, regularnie rozlegające się – jak uderzenia wewnątrz jego czaszki – ochryple huczenie, które czasami ogarniało go całkowicie. Kane zdał sobie sprawę, że cios, jaki otrzymał w bitwie był cięższy niż przypuszczał wcześniej. Być może miał wstrząs mózgu. Co za wspaniałe zbieg okoliczności! Za dnia żołnierze Jasseartiona wrócą tu i znajdą go siedzącego lub leżącego, bredzącego bez przytomności o zapomnianych cesarstwach.

Gardło miał wysuszone pragnieniem i zastanawiał się, czy gdzieś między zabitymi nie udałoby się znaleźć trochę wina. Było to głupie, bowiem już podczas ucieczki najemnicy mieli zaledwie dość wody dla siebie samych. Wina smakują jednak bardzo dobrze, a zwłaszcza białe wina pochodzące z Latroxii, choć wielu sądzi, że są one zbyt kwaśne. Jest ono dobre do przemywania ran dzięki oczyszczającym właściwościom. Słona woda działa tak samo, lecz jest bezużyteczna jako napój. Szkoda, że oceany nie są pełne wina. Wielu żeglarzy z rozbitych okrętów przyklasnęłoby takiej zmianie. Zapewne jednak, przeszkadzałyby ona rybom. Jadłem kiedyś ośmiornicę marynowaną w winie – subtelny smak, ale ogólnie to jednak nieudana potrawa.

Ocean wina uniósł Kane'a na swych falach, kołysząc go w górę i w dół, podczas gdy wokół niego ciała marynowanych żeglarzy wirowały w purpurowej toni, a ośmiornice wypełzały ze swych ukrytych w wodorostach nor.

Dźwięk. Ostry trzask. Kane odruchowo otrząsnął się z majaków. Wyraz jego zimnych, niebieskich oczu zmienił się zaskakująco szybko – trzeźwo i podejrzliwie przeszukiwał teraz wzrokiem teren bitwy.

Dźwięk rozległ się ponownie i tym razem Kane rozpoznał go. Był to nieprzyjemny suchy trzask, taki, jaki słychać, gdy zwierzę ogryza kości swej ofiary.

Teraz mógł już rozróżnić widmo pożeracza ciał, zgiętego nad jedzeniem na ciemnej leśnej drodze. Był śmiertelnie blady i przypominał nieco leżące na ziemi trupy. Spomiędzy drzew wyslizgiwały się inne białe, bezkształtne postaci; ich pochylone i powyginane ciała były nędzną parodią ludzkiej formy. Zatem legendy nie kłamały.

Kane wiedział, że widma te nigdy nie atakują uzbrojonego mężczyzny, jednakże było ich tak wiele, a on tak bezbronny – mogło to stać się dla nich zbyt kuszące. Poza tym, najwyraźniej dawno nie jadły; zwykle nie ruszają świeżo zabitego ciała, czując do niego wstręt, podobnie jak większość ludzi zwykle nie jada surowego mięsa.

Ostrożnie ukrył się między drzewami. Duchy były teraz zainteresowane wyłącznie rozpoczynającą się ucztą, głód przytłumił ich naturalną ostrożność. Kamień skrzypnął pod butem Kane'a; zamarł i rozejrzał się trwożnie. Kilka par martwych, bladych, lśniących oczu spojrzało w jego kierunku, ale żadna z postaci nie wydawała się chętna do poszukiwań. Zadowolony, że nikt go nie śledzi, wsunął się głębiej w cień lasu. Skoro tylko drzewa i sterczące skały osłoniły go całkowicie, przyśpieszył uciekając od tej oświetlonej księżycem makabrycznej sceny.

Zamiarem Kane'a było iść przez lasy i w ten sposób ominąć pole walki, a później odnaleźć górski trakt. Przy odrobinie szczęścia, do świtu mógł zostawić za sobą ładnych parę mil, a za dnia ukryć się w lesie. Ale ścieżka była pełna nieznanymi meandrów – i kiedy wędrował wśród drzew próbując ją odnaleźć, pnącza majaków ponownie oplątały jego umysł. Obawa przed nagłym niebezpieczeństwem odpychała dotąd zwidy, teraz jednak wróciły one znowu. Minęła godzina i Kane zgubił się

całkowicie, z dala od wszelkiej pomocy.

Pod jego butami ziemia drżała i jęczała, lecz marynarski chód był w stanie utrzymać go na każdym pokładzie i Kane nawet w czasie sztormu szedł beztróska szerokim krokiem.

Nagle zawirowanie otaczających go drzew wzbudziło w nim lęk; został złapany w kosmiczny wir jak w pułapkę. Groty wystających poniżej wapiennych skał rozdziawiały swe kamienne paszcze, ukazując jaskinie pełne grzmotów i trzasków, cuchnące zgniłym, strasznym wyziewem. Pod lśniącem okiem księżyca trwał taniec tysiąca kolosalnych fantomów, gotowych zniszczyć szaleńca, który przekroczyłby ich tajemne kręgi. Długie szpony dosięgały twarzy, sękaty pazury bezustannie uderzały i smagały go. Strzeliste cienie zmarłych uśmiechały się do niego w ciemności: szydercze oblicza odwiecznych wrogów, twarze władczyń dawniej łagodne, teraz twarde i kościste. Wirująca fantasmagoria drwiących uśmiechów. Kane nie pamiętał imion nawet połowy z nich.

Błąkając się, znalazł się przypadkowo w ruinach wioski. Przynajmniej tak się zdawało, bo choć wszystkie figury jego torturowanego umysłu znikwały i pojawiały się jak mgła w ciemnościach, te pokruszone ściany pozostawały nienaruszone. Mocno uderzył pięścią w kamienie i studiował odczuwanie bólu. Tak, to musi być rzeczywiste. Opuszczona wioska z kamiennymi murami porośniętymi winoroślą, ciągle nosząca zwęglone ślady zapomnianych najazdów i dawnego ognia. Wszystko w tych ruinach – mieszkania bez dachów, zburzone ściany – tworzyło w świadomości mającego Kane'a obraz wielkich, monolitycznych czaszek, których oczodołami były mroczne, puste okna, a ustami – framugi drzwi. Pustka była przenikająca. Tylko białe cienie na pół zagrzebanych kości dawały świadectwo, że kiedyś mieszkał tu człowiek – przynajmniej Kane sądził, że widzi te rozrzucone pomiędzy innymi szczątkami ludzkie pozostałości. Czyż nie były osobliwością wąskie ścieżki, wijące się wśród poszycia leśnego? Kane sądził, że od wielu lat nikt żywy nie przechodził przez to miejsce, niegdyś wzniesione ludzką ręką, a teraz tak przerażające.

Księżyc w pełni oświetlał sylwetkę opuszczonego zamku, mającego niewyraźnie na stromym wzniesieniu, które górowało nad wioską. W ostatecznej bitwie forteca ta upadła wraz z wsią, która płaciła tak haracz za niewystarczającą opiekę. Fantastyczne góry czarnych kamieni wznoszące się ku księżycowi, zrujnowany zamek, czyniły na Kanie wrażenie spustoszenia, ale także czegoś wzniosłego, niezdołanego. – Tutaj stoi twój żałobny pomnik – zaśmiał się Kane, wskazując palcem na ruiny wartowni, a puste okna kiwnęły potakująco. – O, bogowie! Prawdziwy grobowiec bohatera, prawda?

Wysokie, strzeliste ściany milcząco potwierdzały jego słowa.

W poranionym ciele czuł ostry, tnący ból. Odrętwiały, powoli umierał z wyczerpania. Był bezsilny. Pomiędzy zwalonymi kamieniami Kane dostrzegł zieloną poduszkę mchu. Pełen wdzięczności opadł na to leśne łożo. Do diabła ze wszystkimi żołnierzami tego... jak mu tam... Krótki odpoczynek był najważniejszy. Nikt nie powinien go tutaj znaleźć.

Położywszy głowę na kamieniach, Kane oddychał ciężko, z trudem łapiąc powietrze. Czuł, że zapada się w jakiś czarny obłęd, gdzieś między jawą a snem. Po chwili zobaczył, jak powraca dawna świetność zrujnowanej miejsciny. Na kamiennym pustkowiu wyrosły pełne sklepy i piękne, jasne fasady domów; zarośnięte zielskiem ścieżki stały się znów ulicami. Alejami odrodzonego miasteczka chodzili śpiesznie jego mieszkańcy. W większości zajęci własnymi sprawami, nie zwracali uwagi na obcego przybysza, który spoczywał na jedwabnych noszach.

Ale byli i tacy, którzy spostrzegli intruza. Ci nieliczni zgromadzili się wokół niego i wpatrywali się w Kane'a głodnymi, bladymi oczami. Był na wpół przekonany, że otaczają go duchy – pożeracze ciał, lecz nie miało to dla niego znaczenia.

Ostrożnie, jak sępy zataczające coraz niższe kręgi nad umierającym lwem, widma skupiały się ciałniej wokół Kane'a. Z ich żółtych, zepsutych kłów kapiała brudna ślina, gdy lekliwie zbliżali się do

swej nieruchomej ofiary.

– W tył! – jej głos smagał jak bicz i duchy cofnęły się z pełnym przerażenia posłuszeństwem. – Idźcie do diabła! Odejść, powiedziałam!

Duchy rzuciły się w tył, uciekając przed jej gniewem. Na mgnienie oka Kane odzyskał pełną świadomość. W tej przerażającej chwili zobaczył pół tuzina bladych, pokręconych postaci, czołgających się w strachu, ściganych przez pełną wściekłości dziwną, niezwykle piękną dziewczynę.

Umysł Kane'a był jasny zaledwie przez ułamki sekund, potem przysłała zupełna niepamięć. Czuł, że zanurza się w nieświadomość, która była wyzwoleniem. Jak przez mgłę usłyszał pełen radości okrzyk dziewczyny:

– Ten człowiek będzie mój!

## II PO DRUGIEJ STRONIE LASU

– Jak wiele dni tu jestem?

Podstarzały służący starannie odmierzył pięć kropli żółtego płynu do kubka z winem, zanim odpowiedział:

– Och, niezbyt długo, trzy, cztery dni.

Lokaj delikatnie zamieszał eliksir uważając, aby nie opryskać cennej, dziwacznej liberii.

– Czy to coś zmienia?

– Nie, po prostu chciałbym wiedzieć, jak długo byłem nieświadomy. Choć wszystko w nim kipiało, kwestię tę zdołał wypowiedzieć bardzo cierpliwie.

– Ach, tak? – służący podał mu puchar.

Ręka Kane'a drżała nieco, kiedy brał kielich i kilka kropel prysnęło na kosztowną futrzaną narzutę na łóżku, co wywołało grymas na twarzy towarzyszącego mu sługi.

– Jak długo... Doprawdy, to oryginalne. Czyste szaleństwo, interesować się tylko tym: jak długo byłem w tym stanie? lub: gdzie jestem? – i pytać o to za każdym cholernym razem!

– O! Właśnie tak brzmiało drugie pytanie, które chciałem zadać – mruknął Kane i wziął głęboki łyk mikstury. Czuł jej słodki smak, lecz jednocześnie paliła gardło. Zaalarmowany, przestał pić. Pomyślał jednak, że gdyby jego gospodarze chcieli go zabić, mogliby z łatwością uczynić to, gdy spał, zatem już bez obawy wypił mieszaninę do końca. – Ostatnią rzeczą jaką pamięta, było... – szukał w pamięci. – Wydaje mi się, że leżałem w świetle księżycy w ruinach wioski. Były tam widma – pożeracze ludzi. Ich grupa otoczyła ciasno moją nieruchomą postać. Ktoś rozgonił je. Właśnie w chwili, kiedy pogrążałem się w ciemności. Kobieta, jak sędzę.

Lokaj zaśmiał się sucho.

– Ktoś musiał cię solidnie uderzyć w głowę, cudzoziemcze. Leżałeś w opustoszałej wiosce, to fakt. Ale wokół ciebie było tylko kilku parszywych złodziei i kiedy znaleziono cię, moja pani przegoniła ich. Szczęśliwie dla ciebie, tego dnia wraz z myśliwymi nieco później wracała z polowania. Zapewne nie doczekałbyś poranka – przyjął pusty kielich i ostrożnie umieścił delikatne naczynie na srebrnej tacy.

Kane wzruszył ramionami i usiadł. Elixir przywracał mu siły. Wreszcie rozjaśniło mu się w głowie.

– Zatem, gdzie teraz jestem? – zapytał.

– Być może w Altbur Keep – roześmiał się lokaj. – Czy nie widziałeś zamku, kiedy wchodziłeś?

– Jedyne mijany po drodze zamek, jaki sobie przypominam – rozmyślał głośno Kane – to zbiorowisko omszałych kamieni na wzgórzu nad wioską.

– Zbiorowisko omszałych kamieni? Czy to miejsce naprawdę tak dla ciebie wygląda? – szeroki gest lokaja objął kunsztowne materie na ścianach i bogate umeblowanie pokoje. Dobrze, zgadzam się, być może Altbur Keep nie jest tak wspaniałe, jak w czasach moich przodków, ale mówić o nim "gromada omszałych kamieni"? Rzeczywiście! – zachichotał. -

Chłopcy Jasseartiona musieli uderzyć cię naprawdę porządnie

Oczy Kane'a błysnęły niebezpiecznie, lecz lokaj śmiał się nadal.

– Och, sądzisz, że nie możemy domyślać się, kim jesteś? Wydajesz się być takim głupcem! To jasne, że wiemy o zasadzce. Ach nie, nie obawiaj się! Nie jesteśmy przyjaciółmi Jasseartiona – przyrzekam ci to. Nie, panie, władczyni Altbur Keep z pewnością nie darzy sympatią obecnej władzy oportunistycznych bandytów. Absolutnie nie. Jasseartion nie ma tu przyjaciół, możesz być tego pewien. Moja pani wystąpiła przeciw niemu, otaczając cię opieką. Dziękuj swoim bogom,

że przez pomyłkę nie wzięła cię za jednego z jego żołnierzy.

– Kim jest ta twoja pani? Kiedy będę mógł złożyć jej podziękowania za ochronę?– spytał Kane.

– Na imię ma Naichoryss, jeśli to ci cokolwiek mówi. Przyjmie twoje usługi, kiedy nadejdzie właściwy czas. Do tej chwili myśl tylko o tym, aby odzyskać siły – choć zdaje się, że robisz to niezwykle szybko.

Lokaj przykrył tacę i ruszył w stronę drzwi.

– A ty? Czy masz jakieś imię?

– Ja nie pytam o twoje – brzmiała odpowiedź.

Kane przygryzł wargi i opuścił stopy na ziemię.

### III ALTBUR KEEP

Skoro tak, postanowił Kane, można by zobaczyć, gdzie się podział żar słonecznego dnia. Chłód Altbur Keep, bardzo wyczuwalny, miał w sobie coś dziwnego, choć być może była to tylko sztuczka kapryśnych promieni słońca. Kane zadrżał, siedząc na występie muru i owinał się mocniej płaszczem. Jego własne ubranie i broń zniknęły; odkrył to odzyskiwając świadomość. Ale od wciąż nie znanej mu opiekunki otrzymał w zamian dużo lepsze stroje.

Nie, nie miał zastrzeżeń do sposobu, w jaki go tu traktowano. Wytworne apartamenty, doskonała kuchnia i napoje, służba gotowa na każde jego skinienie. Odnalazł nawet swoją broń. W zasadzie był tu wolny, mógł całymi dniami włóczyć się po zamku. Jednak bramy Altbur Keep były uprzejmie, acz kategorycznie przed nim zamknięte. W zasadzie jednak, sądził Kane, jeśli już musiał być więźniem, to ten rodzaj niewoli bardzo mu odpowiadał.

Kane wychylił się z występu, na którym siedział i począł uważnie obserwować mury zamku. Rzucając się w dół z tej wysokości, można by łatwo zabić się. Dostrzegł także wiele miejsc, które zdawały się być dostatecznie dobre na kryjówki. Zatem, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, wystarczyło zdobyć linę. Nikt go aktualnie nie pilnował, choć Kane przypuszczał, że niekiedy ktoś ze służby pod pozorem zwykłych, codziennych zajęć, śledzi uważnie ruchy gościa. W tej chwili, w cieniu pobliskiej wieży strażniczej dostrzegł tylko dziewczkę kuchenną w objęciach mężczyzny – zdawało się, że są całkowicie pochłonięci sobą. Poza tym nie było nikogo.

Gdyby zaszła taka potrzeba, ewentualna ucieczka nie powinna nastęrczać trudności; Kane miał duże zaufanie do swoich możliwości w tej dziedzinie. I być może był zbyt beztroski – "paranoicznie", jak było napisane w niezrozumiałym języku jakiegoś traktatu, który przeczytał dawno temu. Uratowano mu życie, traktowano go tutaj pierwszorzędnie i było pewne, że ma tutaj bezpieczne schronienie, aby nabrać sił i przygotować się do ucieczki z Chrosanthe. Ostrożność, jaka wykazywała służba w kontaktach z obcym najemnikiem, wydawała mu się naturalna. Zadawał sobie wiele pytań, na każde jednak znajdował łatwą odpowiedź. Nie było tu nic niejasnego.

Jednak Kane nie przestawał być niespokojny. Żył już zbyt długo, aby lekceważyć przestrogi swego wewnętrznego głosu. Oczywiście, miał małe możliwości dowiedzenia się, które z obrazów widzianych w majakach były prawdziwe. Z zamku wioska wyglądała na opuszczoną, nie była to jednak ta złowieszcza gmatwanina ruin, jaką widział w nocy. Również Altbur Keep sprawiało wrażenie zapomnianego przez świat, lecz z pewnością nie miało nic wspólnego ze zburzoną fortecą, która ukazała się w jego nocnej wizji. Czy jednak mimo wszystko, zamek taki powinien stać tu, w regionie o złej sławie i – jak wieść niesie – niezamieszkałym od dwóch wieków? Kane wiedział, że można czasem spotkać cienie dawno już wymarłych, dumnych i pełnych chwały rodów; widma te wciąż jeszcze mieszkają pośród ruin minionej świetności.

Nie były to jedyne istoty tam żyjące. Cisza. Chłód. Wydarzenia w zamku sprawiały, że czas zatrzymywał się. Niepamiętne fragmenty snu, w dziwny sposób przywołane z powrotem. Obrazy zamazujące się w poczerniałym ze starości lustrze. Coś niejasnego zdawało się mówić, że podobnie jak Altbur Keep – pod porastającą je pleśnią jest tylko miraż i więcej nic.

Kane czuł to wszystko wędrując korytarzami zamku. W zasadzie nie było to nic konkretnego – czasami cień, zdawało mu się, jest nie na swoim miejscu, lub też zmienił się jakiś detal zawieszzonego na ścianie gobelinu. Sądził, że nierealność świata Altbur Keep, bardziej zauważalna jest u służby, zupełnie tak, jakby była to jakaś groteskowa sztuka i jej aktorzy. Każdy z nich wspaniale odgrywał swoją rolę; żaden szczegół, żaden gest nie został zaniedbany w charakteryzacji. Patrzył na roznamiętnioną parę w cieniu i zastanawiał się, jak długo scena ta była ćwiczona. Doskonała służba

– wydawało się, że jej niezawodność rodziła się w wielu próbach. Wszystko wygładzone jak setne przedstawienie popularnej sztuki, lecz bardzo kruche i nierealne. To "coś" trudno wciąż było określić.

Zastanawiał się, czy przedstawienie odbywa się także wtedy, gdy nie jest na nim obecny, czy też aktorzy przerywają grę, gdy znika im z oczu.

Na przykład jego lokaj. Albo władczyni Altbur Keep – Naichoryss. Gdzie teraz była? Na jego pytania służba odpowiadała półsłówkami. Naichoryss. Czy była fikcją? Czy też może postacią, która uświetnić miała końcowe akty sztuki? A może to ona stworzyła całą tę maskaradę, a teraz stała za kurtyną, obserwując reakcje publiczności? Naichoryss. Władczyni Altbur Keep – czy władczyni zamku-widma?

Kane zszedł z występu muru. Nadszedł czas, kiedy miał znaleźć odpowiedź na niepokojące go pytania.

## IV WŁADCZYNI ALTBUR KEEP

– Proszę za mną.

Kane odwrócił się, aby zobaczyć swego rozmówcę – lokaja, który pojawił się za nim niepostrzeżenie. Wydawało mu się dziwne jego nagłe przybycie – zupełnie, jakby wysunął się spod wiszącego na ścianie gobelinu. – Za tobą?

– Tak. Moja pani, Naichoryss – powiedział oficjalnym tonem – przygotowała skromny obiad w swych apartamentach. Pyta, czy zechcesz jej towarzyszyć.

Więc to tak po prostu...

– Zatem zdecydowała się w końcu rzucić okiem na swoje „znalezisko”?

Lokaj wzruszył ramionami i wyrecytował:

*Umysł kobiety, przyjacielu Eistenallis,*

*Jest tajemnicą;*

*Jego przepastne głębie*

*Są jak niezbadane ścieżki boskiego kaprysu.*

– Ciekawe, że przytoczyłeś właśnie te słowa. Myślę, że pochodzą z fragmentu o tym, jak Halmonis namówił Eistenallis do schadzki, z której biedny dworzanin nie zdołał powrócić.

– Ach! Zatem znasz dzieło Gambroniego? Jesteś więc odczytany!

– Znam Gambroniego – odparł Kane mając nadzieję, że nie sprowokuje to tego pretensjonalnego głupca do dalszych pytań o jego erudycję.

– Oto doszliśmy – lokaj zakończył rozmowę i zastukał mocno w obite mosiądzem drzwi. Wydawało się, że ze środka słychać cichą odpowiedź. Lokaj pchnął drzwi i odsunął się na bok z pozbawioną wyrazu miną dobrego sługi.

Przywitały Kane'a dwie uśmiechnięte służące, ubrane identycznie: w skórzane stroje z mosiężnymi pasami. Cicho otworzyły następne drzwi, gestem zapraszając go do środka.

Kiedy przechodził przez kotary zasłaniające wejście, piękna dama wstała, aby go przywitać. Jej czerwone wargi rozchyliły się w uśmiechu, ukazując drobne, białe ząbki.

– Nazywam się Naichoryss – głos miała czysty, lecz chłodny i daleki jak we śnie. – Witam cię Altbur Keep.

Długie, białe ramie wysunęło się z tąd jej czarnej szaty, ukazując Kane'owi miejsce na sofie przy niskim stole.

– Proszę, usiądź teraz i opowiedz mi coś o sobie. Tak rzadko miewam jakichkolwiek gości!

Dyskretnym gestem skinęła w stronę usługujących dziewcząt, potem usiadła obok niego. Poruszała się ze spokojem i wdziękiem – jak cień.

Kane oparł się wygodnie i przyglądał się, jak służące napełniają winem jego kielich. Przejrzysty, czerwony trunek wyglądał jak rubiny, którymi wysadzany był brzeg pucharu

– Mam na imię Kane – zaczął. Sądził, że nie ma powodów, aby ukrywać się przed Naichoryss, a był zbyt dumny, aby pozwolić, by brano go za zwykłego najemnika, zwłaszcza, że otaczano go dużym splendorem.

Naichoryss uśmiechała się. W dłoni trzymała kielich wina, a w jej ciemnych oczach odbijała się purpurowa barwa płynu. Pukle czarnych, długich włosów figlarnie otaczały jej bladą twarz o delikatnych rysach. Studiował jej niepokojąca, dziwną piękność, zimną i wyniosłą jak arcydzieło sztuki – wysadzana drogimi kamieniami rzeźba wykuta w żelazie.



– Kane – słowo to zabrzmiało w jej ustach jak pieszczoła.

– Myślę, że to okrutne imię. Nie jest ono pospolite.

W jej oczach błysnęło szyderstwo. Kane zorientował się, że Naichoryss wie o nim bardzo wiele.

Nie sposób było pomylić go z kimś innym. Jego rude włosy, uroda i silna, niedźwiedzia sylwetka zdradzały, że nie jest urodzonym mieszkańcem Chrosanthe. Ludzie tutaj byli raczej drobni i ciemnowłosi. Wśród najemników, którzy z zimnych krajów przywędrowali na południe, nie wyróżniał się specjalnie: miał tak samo jak oni szorstkie rysy, tak samo wielkie, muskularne ręce. Lecz oczy jego sprawiały, że brano go za cudzoziemca.

Nikt, kto raz napotkał wzrok Kane'a, nie mógł tego zapomnieć. Zimne, niebieskie spojrzenie urodzonego mordercy, w którym błyszczał obłęd, piekielne ognie zniszczenia i żądza krwi. Oczy, które nosiły w sobie śmierć. Był to jego prawdziwy znak.

Naichoryss przyglądała mu się badawczo. Przyjmował to z udawaną obojętnością.

– Skoro nawet tutaj, w Altbur Keep, znane są szczegóły sporu Jasseartiona z Talyvionem, jego opłakany półbratem, nie będę zanudzał cię starymi wieściami. Jak sama rozumiesz, najszybsza ucieczka przed złością Jasseartiona była dla mnie sprawą wielkiej wagi. Jednakowoż nastąpiło pewne opóźnienie. Być może nie byłem należycie przygotowany na podstępne metody króla i jego ludzi. W każdym razie, żołnierze, którzy napadli na nas, nie rozpoznali mnie i zostawili, myśląc, że nie żyje. Półprzytomny, błądziłem po lesie do chwili, kiedy znalazłaś mnie wśród ruin. Zaczął dziękować jej za opiekę, za troskliwe pielęgnowanie i leczenie.

Jej śmiech brzmiał jak dźwięk srebrnych fletów i dzwonek. Jednak na dnie, pod jasnymi, szczęśliwymi tonami kryło się drzenie.

– Zatem Kane jest tym utalentowanym dworzaninem, tak wychwalanym przez kobiety! Jakże niezwykle jest, że za tak brutalną siłą kryje się miła, delikatna, układana osobowość! Na każdym kroku dostrzegam w tobie sprzeczności. Kane! Cóż za żywotność! W parę dni wyleczono cię z ran, które mogły zabić lub przynajmniej unieruchomić na wiele tygodni! Jakże się cieszę teraz, że tamtej nocy zwróciłam na ciebie uwagę w mej wiosce!

– Obawiam się, że niewiele z tego pamiętam, mój umysł jest jak czysta karta – rzekł Kane – Twój lokaj wspomniał mi, że jacyś bandyci...

Naichoryss lekceważąco machnęła ręką.

– Bandyci? Istotnie! Banda nikczemnych złodziejasków i kłusowników, zaledwie kilku, jednak już byli gotowi poderznąć ci gardło i skraść twoje buty. Zmykali jak szczury, kiedy nadjechałam z myśliwymi! Ale proszę! Wszystkie te oficjalne rozmowy i wyszukane grzeczności są tak nudne! I bez nich życie w Altbur Keep nie jest zbyt ciekawe. Musisz opowiedzieć mi o wszystkich fascynujących rzeczach, które dzieją się w dalekim świecie, albo będę ziewać całą noc! Mów mi o egzotycznych krainach, które odwiedziłeś. Rozpędź moją nudę, a pozostaniesz tutaj, aż Jasseartion i jego potęga pójdą w zapomnienie.

Prośba ta spodobała się Kane'owi. Rola towarzysza przy obiedzie bardzo go bawiła i była ciekawym doświadczeniem. Wieczór wypełniony anegdotami mógł zająć na pewien czas piękną damę, trochę za bardzo zainteresowaną jego życiem. Podczas gdy służące Naichoryss wносиły coraz to nowe przysmaki, dziwna pani Altbur Keep słuchała opowieści Kane'a o starodawnych bitwach i intrygach. Historie te brzmiały jak baśnie.

Wino pochodziło ze starych, dobrych piwnic. Kane z przyjemnością wdychał jego rzadki, delikatny aromat i z aprobatą patrzył na usługujące dziewczęta napełniające wciąż na nowo jego kielich. Trunek był mocny i wkrótce potem Kane poczuł, że mąci mu się w głowie. Zaczął się nawet zastanawiać, czy wino nie zawiera jakiegoś narkotyku. Jego towarzyszka zdawała się nie mieć takich

problemów, ale przez cały czas wypięła niewiele.

Kiedy służące uprzątnęły stół i pozostało na nim tylko wino, Naichoryss wstała i poprowadziła gościa w kierunku otwartego balkonu. Kane szedł za nią po oświetlonych księżycem kamieniach. Poruszał się jakoś ociężale – był to skutek działania alkoholu, ale też i magia jej piękności. W milczeniu oparli się o balustradę i spojrzeli w dolinę, gdzie zimny blask księżyca malował ruiny wioski srebrem i czernią. Delikatny wiatr poruszał jej długie włosy. Dziwny był to wiatr, tak chłodny letnią nocą!

Księżyc oświetlał jej ciemną suknię. W jego blasku białe ciało Naichoryss wydawało się przezroczyste. Kane'a ogarnęło dziwne wzruszenie; czuł, że stojąca obok niego kobieta rozpala w nim namiętność. Nigdy jeszcze nie spotkał osoby tak pięknej, tak fascynującej.

– Zimno?

– Tak. Tak, zimno mi. Ale nie jest to chłód nocy. Czuję go dużo, dużo głębiej, wiem o tym... Myślę, że pomóc mi mógłby tylko...

Białe ostre ząbki lśniły, oświetlone nikłym blaskiem księżyca. Twarz jej rozjaśnił zapraszający uśmiech, a oczy nabrały dziwnego, głodnego wyrazu.

– Sądzę, że być może ty potrafiłbyś wypędzić chłód z mojej duszy.

Kane zbliżył się, chcąc ją objąć, lecz poruszał się tak niezdarnie, że ze śmiechem wymknęła się z jego ramion. Oszołomiony, wpatrywał się w nią jak młody wiejski chłopak, opętany przez wytrawną kurtyzanę. Delikatnie dotknął palcami jej ciała – było zimne jak lód.

– Nie tak gwałtownie, mój gruboskórny wojaku! – zaśmiała się. Staraj się zachować siły! Cała wieczność nocy jest jeszcze przed nami, a ty zachowujesz się jak rozbuhany niedźwiedź!

Kane walczył ze sobą, z największym wysiłkiem starając się opanować emocje. Jakich zaklęć użyła ta piękna istota, że stał się tak grubiański i niecierpliwy?! Pragnienie posiadania jej było tak potężne, że na nic zdały się jego próby zachowania gładkich, wyszukanych manier.

Naichoryss wzięła do ręki instrument przypominający lirę i wydobyła zeń kilka dźwięków.

– Staraj się zachować siły – powtórzyła ochryplym głosem. – Bądź gotów na długą noc. Czy mogę zaśpiewać dla ciebie, Kane? Czy mógłbyś jeszcze na kilka chwil powstrzymać swą energię?

Jego ręka drżała, kiedy podnosił do ust kielich wina i choć nie odważył się tego wypowiedzieć, czuł rosnące pożądanie, tak potężne, że aż widoczne...

Naichoryss była zamyślona; delikatnie pociągnęła palcami po strunach liry. Kane czuł jednak, że ta niedbała poza była udawana. Jak kat, który igra ze swą ofiarą, a przy tym stara się okazać jej zupełny brak zainteresowania – pomyślał.

Zabrzmiały dźwięki liry i Naichoryss zanuciła cicho, jakby zapomniawszy o jego obecności. A potem rozpoczęła pieśń o słowach utkanych z tego wszystkiego, co otaczało: z blasku księżyca, chłodu, samotności, nocy:

*Chodź do mnie kochany, tej nocy bądźmy razem,  
Stań przy mnie w zimnym, jasnym blasku księżyca,  
Chcę, byś na kamiennym ołtarzu mojej świątyni złożył swą duszę  
Dotknij mej dłoni, kochany, mego ciała zimnego jak lód –  
Moje piersi niech będą dla ciebie poduszką miękką jak śnieg.  
Pieśń moje usta, kochany, owionie cię mroźne tchnienie –  
Spójrz głęboko w me oczy, kryjące mocny chłód.  
Potem pozwól, bym wzięła cię w zimne objęcia,  
I powiodła w świat poza wszelkim bólem;*

*Zaufaj moim pocałunkom, one nauczą cię,  
Że najczystszy wyrazem miłości  
Jest śmierć i tylko śmierć.*

Omdlewającym ruchem Naichoryss odsunęła lirę i oparła się wygodnie. Kane wpatrywał się w nią z najwyższym zachwytem.

– Hej, czemu milczysz, Kane? Mam nadzieję, że moja pieśń nie ukołysała cię do snu.

Przemknęła obok niego i z blasku księżycy weszła w cień swojej sypialni. Kane podążył za nią; dzięki pożądanie sprawiło, że jego ciało i umysł były w najwyższym napięciu.

– Naichoryss – wyszeptał ochryplym głosem. Lecz ona gestem dłoni nakazała mu milczenie. Stała zwrócona twarzą ku niemu, tuż koło łóża, w ciemności lśniły ciemne, spragnione jego ciała oczy. Stała teraz przed nim naga, a przenikająca przez drzwi smuga światła obrysowała jej piękne ciało, czyniąc je nieomal czarodziejskim.

– Czy pragniesz mnie, Kane? – zapytała, a w głosie jej nie było już nuty śmiechu.

– Wiesz, że tak jest! – odparł Kane, świadomy, jak niepotrzebne były to słowa.

– A czy jesteś gotów oddać mi się cały, duszą i ciałem, na wszystkie noce wieczności?

Kane zaczynał już rozumieć, że szykuje sobie zgubę, nie mógł jednak cofnąć swej odpowiedzi.

– Daję ci całego siebie.

Błysk dzikiego triumfu przemknął przez jej twarz. Wyciągnęła ku niemu ręce i zawołała z radością:

– Więc chodź, chodź do mnie!

Kane objął ją mocnym uściskiem i ukrył jej giętkie ciało za swą potężną sylwetką. Począł całować ją długo, głęboko, czując na swych rozpalonych wargach jej usta, wciąż dziwnie chłodne. Nagle poczuł także – a może to było złudzenie – ukłucie jej ostrych ząbków, tak jakby ugryzła go w usta.

Z zaskakującą siłą zerwała z niego koszulę, odsłaniając nagi tors.

Oszołomiony jej pocałunkami przyglądał się, jak Naichoryss osuwa się na przykrywającą łóżę futrzaną narzutę. Gorączkowo zrzucał z siebie resztę ubrania. Mimo pośpiechu, zauważył na piersi czerwone pręgi – ślady jej długich, drapieźnych paznokci. Księżyc rzucał blask na jej złowrogo uśmiechniętą twarz i wydobywał z ciemności białe, ostre kły. Kane nie zauważył jednak tego.

Poczuł, jak Naichoryss obejmuje go chłodnymi ramionami i przyciąga ku sobie. W chwilę potem ciała ich splotły się w uścisku czarnej ekstazy. Przenikające go fale rozkoszy wprawiały jego ciało w drżenie; czuł, że pogrąża się wirując między ogniem a lodem, między rozkoszą a oderwaniem. Jej preżące się na nim ciało, jej pocałunki przerywane, gdy lodowatymi ustami pieściła jego tors, wprawiały go w omdlenie.

Kiedy w końcu wbiła mu kły w jego gardło, poczuł, jakby zerwane z uwięzi ognie pochłonęły jego wnętrze.

## V OTCHŁAŃ MIRAŻU

Czas utracił dla niego jakiegokolwiek znacznie. Było to tak, jakby całe istnienie stało się jedną, bezkresną nocą. Kane nie widział już słońca, choć nie mógł powiedzieć, czy dlatego, że przez całe dni leżał nieprzytomny, czy też czas stanął w miejscu.

Rzeczywistością były jedynie noce spędzone z Naichoryss, lecz Kane nie pamiętał nawet, ile razy mroczny uścisk łączył ich ciała.

Budził się. Na zewnątrz było wciąż ciemno. Czasami czuł się wystarczająco silny, aby przespacerować się po pokojach Naichoryss. Kiedy indziej był tak bardzo słaby, że potrafił jedynie przesunąć się z wysiłkiem ku krawędzi łoża, gdzie na niewielkim stoliku przygotowano dla niego skromny, złożony z wina i mięsa posiłek. Nie widywał już pałacowej służby, lecz i nie szukał jej, nie opuszczając apartamentów kochanki. Nie przychodziło mu do głowy, żeby sprawdzić, czy drzwi jej pokoi były zamknięte na klucz; w jego umyśle nie pojawiła się żadna myśl o ucieczce.

Spoglądając na swe odbicie w lustrze widział chudą, wynędzniałą twarz jednak nie wzbudzało to jeszcze jego niepokoju. Bez zainteresowania przyglądał się dwóm ranom, które znaczyły jego białą szyję brudną, czerwoną opuchlizną.

Jedyną rzeczą, która wywołała w nim wzruszenie, było oczekiwanie na rozpoczęcie dziwnego misterium sekretnych przyjemności, których przez wieki był pozbawiony. Było to tak, jakby po nieskończonym okresie beznadziejnej tęsknoty, spełnić się miały wszystkie jego pragnienia, aby być wolnym i wyruszyć w upragnioną od wieków podróż. Mając, Kane czekał tylko; jego ciało i dusza były za słabe, aby zająć się czymkolwiek. Czekał na śmierć. Przychodziła do niego zawsze. Czasami przez drzwi, lub też zdawało się, że już była w sypialni, w której leżał.

Zawsze z tym samym szyderczym zainteresowaniem Naichoryss komentowała jego słabość, nalegając by coś zjadł, jakby dobry posiłek mógł przewyciężyć jego znużenie. Zawsze Kane czynił wysiłki, aby zadowolić władczynię Albur Keep, czerpiąc brakujące siły z ukrytych gdzieś w nim zapasów. Zazwyczaj rozmawiali lub Naichoryss śpiewała coś. Za każdym razem jednak kończyło się w ten sam sposób – zaczynali się kochać. I kiedy już Kane leżał słaby, wyczerpany aż do omdlenia, po raz kolejny poznawał ból, jaki zadawało mu gwałtowne pożądanie. Po raz kolejny zanurzał się w ciemność.

Czasami Naichoryss mówiła mu nieco o sobie lub o tym, co chce z nim robić. Ona, kobieta-wampir czyniła to, gdyż była pewna swej ofiary. Wiedziała też, że Kane utracił moc i nawet znajomość tego, co go czeka nie przywróci mu sił. Nie wyrwie się spod jej uroku!

Opowiadała mu, jak dwa wieki temu, w wielkiej wojnie domowej tamtych czasów upadło Albur Keep. Zwycięzcy wymordowali wówczas wszystkich mieszkańców wioski i zamku. Tylko ona pozostała przy życiu, musiała jednak znosić pożądliwość lubieżnych żołdaków, którzy gwałcili ją na tym samym łożu, na którym leżał teraz Kane. Rosła w niej gwałtowna nienawiść, a kiedy pewnego dnia walczyła o życie z usiłującym ją udusić żołnierzem, uczucie to przepełniło ją całą. Stało się tak silne, że nie mogło już zniknąć bez śladu. W ten oto sposób pani upadłego królestwa zaczęła czerpać siły z przeklętej, nigdy nie zaspokojonej zemsty, pozostawiając za sobą tysiące zabitych. Tak zyskał moc, która była silniejsza niż sama śmierć. Nocami włóczyła się po spustoszonej krainie, a nadchodzący świt znaczył jej diabelską zemstę szlakiem pokrwawionych ciał. Siała bezlitosny terror – i być może to właśnie wyгнаło ludzi z jej ziemi, zaś Naichoryss pozostała władczynią nawiedzanych przez widma śmierci ruin.

Minęło wiele lat. Potomkowie tych, na których szukała zemsty, postarzelili się i umarli. Sama wojna stała się odległym fragmentem historii i nawet uczniom w szkołach mieszały się jej kolejne

wydarzenia.

Noszące ślady wieków mury Altbur Keep porosły mchem. Większość duchów – pożeraczy ciał przeniosła się tutaj, na ziemię bardziej dla nich łaskawą. Naichoryss pozostała w zapomnianych ruinach swego królestwa; polowała głównie na zwierzynę leśną, rzadko bowiem zdarzało się by jakiś człowiek nieświadomie zapuszczał się aż tutaj.

To była samotność. Tylko nieśmiertelny pozbawiony ostatecznego wytchnienia w grobie – może poznać jej ogrom.

Naichoryss wiedziała od razu, co powinna zrobić, gdy rozpędziła zgromadzone w wiosce duchy i znalazła Kane'a. Zabrawszy go do zamku postanowiła wydobyć Altbur Keep z kurzu minionych wieków i przywrócić mu dawną chwałę. Podczas gdy Kane odzyskiwał siły, poczyniła wiele starań, aby ukazać mu bogactwo fortecy – i złapać go w sidła swego czaru. I kiedy uznała, że w pełni wrócił do zdrowia, ofiarowała mu swe ciało, by móc czerpać siły z jego niespożytej energii i żywić się nią.

Lecz nie śmierć była przeznaczeniem Kane'a – to Naichoryss wyraźnie mu obiecała. Jej zamiarem było, by stał się wiecznym towarzyszem, razem z nią wędrującym drogami nieśmiertelnego królestwa cieni. Powoli, powoli wypijała z niego życie, ostrożnie przygotowując Kane'a do przejścia przez śmierć do krainy nocy szlakiem, który ona – nocna postać – przeszła już dawno. Pragnęła, by mogli władać tym odludziem, zamieszkałym jedynie przez duchy. Sądziła, że podzieli z nim ciemne, niewyobrażalne rozkosze nieśmiertelności.

Pewnej nocy Kane obudził się zbyt słaby, by wstać. Leżał na łożu z trudem łapiąc oddech, jego blade, zapadnięte ciało czekało, by Naichoryss przyszła znowu.

Ogromna radość pojawiła się w jej oczach, kiedy zobaczyła go ostatniej nocy.

– Nareszcie! – zawołała jak panna młoda, która w końcu doczekała się swej nocy poślubnej. – Zaczynałam już wierzyć, że nie można ugasić w tobie iskry życia. W jej głosie brzmiała czułość, kiedy powiedziała:

– Ta noc będzie ostatnią, podczas której zadam ci ból, Kane, ukochany mój. Tylko ten ostatni raz. Musisz poznać cierpienie umierania. Nie popadniesz w wieczny sen, lecz w słodką, śmiertelną drzemkę bez snów. I kiedy w końcu zmartwychwstaniesz, będziemy mogli być naprawdę razem! Ty i ja, Kane – razem na całą wieczność!

Kiedy pochyliła się nad nim, na twarzy Kane'a pojawił się tęskny uśmiech. Słabym głosem starał się coś powiedzieć, lecz zamknęła mu usta, pocałunkiem nakazując milczenie.

Jej wargi paliły go coraz głębiej. Czuł, jakby igły lodu wbijały się w każdy nerw jego ciała. Nieziemski chłód wypełnił jego duszę, przynosząc mu dziwny spokój. Ciemność wypełniła się kosmiczną pustką, która zbliżała się, pochłaniając go całego. Agonia i ekstaza przytłaczały go, dwie skrajności, które rozrywały jego istnienie, to znów stapiały je w jedną całość.

Twarz Kane'a tonęła w jej czarnych, splątanych włosach. Czuł na swej piersi ciężar zimnego ciała, tracił oddech. Nienasycone usta wysysały z niego ostatnie tchnienie życia. Kane zapadał się...

## VI POWRÓT

Czerń. Kane płynął bez końca przez wieczną, wszechobecną ciemność. Nie był to jedynie brak blasku światła – ale nieistnienie wszystkiego: przedmiotów, energii, czasu. Żeglował w kosmicznej otchłani między życiem a śmiercią.

Tajemnicze nici delikatnej sieci w dziwny sposób rozwijały się w ciemności, chroniąc go przed upadkiem w nieskończoną pustkę. Życie czyniło ostatnie próby, aby zatrzymać Kane'a, żądając od niego zachowania choćby najbardziej pierwotnych instynktów.

Minęły wieki, Kane wydostał się z ciemności matczynego łona; ruchliwa, czerwona istota, której pierwszym aktem życia był krzyk, by zaczerpnąć oddechu. Teraz te same instynkty nakazywały mu odpuścić kosmiczny mrok.

Kane westchnął i otworzył oczy. Otaczały go ciężkie, kamienne mury. Początkowo wzrok jego napotkał jedynie czarną pustkę. Powietrze w jego płucach pełne było stęchłego, wiekowego kurzu. Pełen strachu i bólu krzyknął głośno, ruchami rąk i nóg starał się za wszelką cenę odepchnąć ścianę napierającą nań z góry. Ogarnęła go ślepa panika. Przez chwilę zdawało się, że jest zbyt słaby, żeby się uwolnić, lecz później instynkt życia uwolnił siły, które tkwiły w nim uspięne jeszcze przed narodzeniem. Teraz ta nowa moc wsparła jego znużone ciało.

Pod silnym naporem mięśni Kane'a ściana drgnęła. Runęła z hukiem, otwierając wyjście. Mamrocząc coś szeptem, wyprostował się i głęboko wciągnął w płuca zimne powietrze grobowca.

Wciąż jeszcze pozostawał w ciemnym lochu, oddychając powoli. W miarę, jak życie strumieniami wpływało w jego drżące ciało, umysł zaczął znów funkcjonować jasno, racjonalnie – uwolniony z okowów, w których tak długo był uwięziony.

Powoli zaczął rozróżniać kształty w ciemności grobowca; po czerni, która niemal go pochłonęła, przychodziła jasność. Kane pomyślał, że musi znajdować się w rodzinnej krypcie władców Altbur Keep, gdzieś w podziemiach zamku. W mroku dostrzegł zarysy kamiennych trumien, niektóre ukryte były w głębokich niszach, inne – podobnie jak jego – stały na podwyższeniach. Z wysiłkiem wydostał się ze swego sarkofagu i stanął na podłodze. Idąc przez pokryte kurzem podziemia, przyglądał się mijanym grobowcom i zastanawiał się, jaki też spotkał dawnych mieszkańców zamku. Stopy jego odnalazły prowadzące w górę schody. Wszedł na nie, kierując się nikłymi promieniami słońca, które wąską smugą przenikały przez drzwi krypty. Kane doszedł do drzwi, zaparł się ramieniem i mocno je pchnął. Ustąpiły niechętnie, z głośnym zgrzytem odsłaniając wyjście.

Kane'owi zakręciło się w głowie, gdy opuszczał lochy. Korytarz, w którym się teraz znalazł, był zavalony gruzem. Późne, popołudniowe słońce ciepłymi promieniami przeświecało przez mocno już zniszczony dach, gdzieś przy końcu tego długiego pomieszczenia. Rozczarowany i pełen bólu, włókł się wzdłuż ścian do przeciwległych drzwi, za którymi spodziewał się ujrzeć dalsze pokoje. Nie znalazł jednak nic prócz ruin.

Altbur Keep było ogromną, opustoszałą stertą gruzu. Kane szedł przez pogrążone w milczeniu resztki sal i pokoi, napotykał pustkę. Nie było służby; mieszkały tu teraz tylko nietoperze i stare szczury o mądrych oczach, na jego widok kryjące się wśród kamieni. Ściany fortecy nie były tak bardzo zniszczone, za to dach zawalił się w wielu miejscach, zostawiając wielkie, postrzępione dziury. Strzaskane bramy i osmalone ogniem ściany twierdzy opowiadały Kane'owi o jej upadku. Wiele kosztownych mebli rozgrabiono, lecz pozostały jeszcze kawałki nadgniłych tkanin i zbutwiałego drewna – resztki dawnej wielkości i sławy Altbur Keep. Jego własne ubranie też pochodziło z tych czasów; nosiło ślady wielu bitew i lat spędzonych w sarkofagu.

Nagle Kane spostrzegł coś błyszczącego. Podeszedł bliżej i z radością odkrył, że jest to jego broń.

Z zaciętym wyrazem twarzy przypasał miecz, przypiął puginał i tak uzbrojony ruszył w kierunku miejsca, gdzie znajdowały się niegdyś pokoje Naichoryss.

Często przystawał, by nabrać sił. Ciałem jego wstrząsnęły dreszcze; wszystkimi członkami walczył z ogarniającą go słabością. Jednakże Kane czuł się teraz znacznie silniejszy, niż był wtedy, gdy pochłaniał go czar Naichoryss. Wyzwolony spod jej uroku, lekcewał słabość i zmęczenie, i zmuszał swe umęczone ciało do ruchu.

Słońce zachodziło już, kiedy dotarł do apartamentów. Naichoryss. Tutaj także wszystko tchnęło starością i upadkiem. Nie było tu jednak ani ruin, ani gruzów na podłodze; zdawało się, że ktoś próbował uprzątnąć pozostawiony przez złodziei nieład, by wewnątrz tym przywrócić pozory minionego blasku. Ze ścian zwisały resztki dawnych tkanin, podłogi pokryte były zniszczonymi dywanami, meble stały we właściwych miejscach, wazony i drobne kobiece błyskotki leżały rozrzucone po wszystkich kątach. Wszystko skrywała gruba warstwa kurzu. Pokoje czyniły wrażenie, jakby pieszczotliwa ręka starannie przygotowała je na wieczny odpoczynek.

Cienie zmierzchu wkraadały się do wnętrza. Kane przyglądał się uważnie znanym meblom, lecz wzrok jego nie napotkał nigdzie żadnego śladu życia. Prawie nic się tu nie zmieniło, mimo niszczącego działania czasu, może tylko brakowało w tym obrazie paru drobiazgów, które Kane zapamiętał z dawnych dni. Łóże Naichoryss stało ciągle w tym samym miejscu, lecz przewidywania Kane'a nie sprawdziły się – nie znalazł swej pięknej, demonicznej kochanki. Z pewnością od dawna nie spędzała tu nocy, bowiem kurz pokrywający łóże był nienaruszony. Popadł w zakłopotanie. Powinien był przypuszczać, że kobieta wampir wybrała sobie inne miejsce odpoczynku, by schronić się przed światłem dnia. To był poważny błąd. Kane chciał raz jeszcze stanąć twarzą w twarz z Naichoryss – teraz jako zwycięzca. Wiedział, że ma nad nią przewagę.

Kane wyszedł na balkon i spojrzał w szarzejący się zmierzch. Zaklął gniewnie, doszedł bowiem do wniosku, że Naichoryss umieściła na pewno jego martwe ciało w grobowcu sąsiadującym z jej własnym. Należało zatem szukać jej w zamkowej krypcie. Wiedział teraz, że nie odnajdzie pięknej damy, dopóki ciemność nie wywoła jej na zewnątrz lochów. Cicho cofnął się do ciemnego już korytarza. Chciał dotrzeć do krypty, gdy władczyni Altbur Keep będzie jeszcze pogrążona we śnie.

Brakowało mu sił, aby wygrać wyścig z nadchodzącą szybko nocą. Właśnie wzeszedł księżyc, rzucając na korytarz smugę światła. W tym nikłym blasku Kane dostrzegł Naichoryss. Czekala na niego. Czas, który zmienił wspaniałe Altbur Keep w ponure ruiny, nie zdołał naruszyć jej urody. “Przynajmniej to niezemskie piękno nie było częścią mirażu” – pomyślał Kane.

Twarz jej rozjaśnił spragniony uśmiech. Wyciągnęła białe dłonie w geście powitania.

– Zatem spotykam cię znowu, obudzonego i pełnego sił. Czy ciekawość kazała ci już spróbować, jak smakuje nowa egzystencja, do której musiałeś dojść bez mojego udziału? Być może...

Nagle zamilkła, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo. Uśmiech zamarł na jej ustach, gdy Kane podszedł bliżej.

– Coś jest nie w porządku! – krzyknęła przerażona. – Ty ciągle żyjesz. Ty nie...

– Tak, coś jest nie w porządku – Kane uśmiechnął się ze smutkiem. – Mimo największych wysiłków, jakie czyniłaś, pozostała we mnie odrobina życia. Wystarczająco duża, by przestało mnie kusić twoje słodkie zaproszenie do krypty Altbur Keep!

Jej twarz zastygła w przerażeniu.

– Nic nie rozumiem. To niemożliwe, aby zwykły śmiertelnik mógł stać przede mną żywy, skoro poznał już siłę moich pocałunków. Kropla po kropli wypijałam z ciebie moc. Byłeś zbyt słaby, by protestować, gdy ostatniej nocy wyssałam esencję życia z twoich ust. Zanim nastał świt, zaniósłam twe ciało do krypty; czułam, jak staje się zimne i sztywne.

Naichoryss zamilkła w zadumie.

– Ułożyłam cię w trumnie stojącej obok mej własnej. Te dwa grobowce ustawiono razem bardzo dawno temu. Przeznaczono je dla mnie i mojego męża – którego nigdy nie miałam!

Kane oparł się o framugę okna i patrzył w zamyśleniu na stojącą obok kobietę. Głębokie, niebieskie oczy nie zdradzały jego uczuć.

Milcząc, Naichoryss przyglądała mu się w zamyśleniu. Ciszę przerywało jedynie szukanie szczura w kącie i cichy szmer ocierających się o mury aksamitnych skrzydeł nietoperzy.

– Chyba już wiem – rzekła cicho. – Tak szybko wyleczyłeś się z ran, nie pozostały nawet blizny! Potem zdawało się, że twoja siła jest niewyczerpana, choć wysysałam ją z ciebie każdej nocy. Ludzkie ciało nie potrafi tak szybko tworzyć życiodajnej krwi – jest to nienaturalne. I tylko nadzwyczajna energia mogła mierzyć się z moim niosącym śmierć pocałunkiem, mogła wyprowadzić cię z powrotem z królestwa wieczystej nocy. – Duchy ciemności wspominały czasami o człowieku noszącym imię Kane. Mówiły, że jest on jednym z pierwszych ludzi, człowiekiem wyklętym przez bogów, gdyż powstał przeciw swemu stwórcy, gdyż był pierwszym, który wprowadził do raju śmierć i gwałt. Ten człowiek został napiętnowany przekleństwem nieśmiertelności – skazany na wieczną wędrówkę po ziemi, nigdy nie zaznającym spokoju, przynoszący zło i zniszczenie wszędzie tam, gdzie się udał – aż do czasu, gdy gwałt, któremu dał początek, zdoła go pokonać. Aby ludzie wiedzieli, kim jest naprawdę, oczy jego uczyniono oczami mordercy.

Głos Naichoryss był pełen szacunku i grozy.

– Nieśmiertelne ciało potrafi szybko uleczyć każdą ranę. Nie widać po nim starości. Albowiem trwa niezmiennie od czasu, gdy zostało obłożone klątwą. – Było w tobie coś niezwykłego, Kane, czułam to cały czas. Wybrałam jednak marzenia, nie myśląc o tych niepokojących rzeczach. Teraz widzę, że szaleństwem było lekceważyć mądre rady szeptane mi przez nocny wiatr.

Kane, wciąż patrząc na nią w milczeniu, wzruszył ramionami.

– Zostań ze mną, ukochany mój! – zawołała głosem pełnym rozpacz. – Nie broń się! Poddaj się moim pocałunkom! Proszę, nie walcz z moim czarodziejskim wdziękiem! Oddaj mi się ostatni raz, a obudzisz się, by zostać na wieczność moim kochankiem, moim panem! Przysięgam ci, będziemy księciem i księżną Albur Keep! Będziemy tu panować, aż gwiazdy utoną w morzu nocy! Nasza miłość, nasze wspólne życie, przeniosą nas w świat, gdzie nie istnieje czas ani ból. – Czy te ruiny przeszkadzają ci? Zatem spójrz na nie oczami nieśmiertelnego, a ujrzysz dawny splendor Albur Keep. Razem przywrócimy mu świetność i potęgę, w jakiej żyłeś przez minione dni. Jeśli tylko zapragniesz, odbudujemy chwałę całego królestwa. Zostaniemy władcami silnego państwa wtedy, gdy cały świat rozpada się w gruzy!

Śmiech. Gorzki śmiech.

– Wszystko to tylko miraż – wyszeptał Kane.

– Miraż? – wykrzyknęła pośpiesznie. – Zmartwychwstanie Albur Keep mojej młodości nazywasz mirażem? O nie, Kane. Będzie to dla nas rzeczywistość nie mniej prawdziwa, niż te ruiny, które widzisz teraz. Spędziłeś wiele dni pod osłoną tych starych murów, obsługiwanych przez białe kościotrupy służących, byłeś karmiony przez nich, piłeś ich napoje, ubierałeś się w luksusowe szaty z minionych epok. Czy wszystko to nie było dla ciebie realne? Czy naprawdę możesz stwierdzić, który obraz Albur Keep jest rzeczywistością, a który snem?

– Sen i jawa są często trudne do oddzielenia – odparł cicho Kane. – Filozofia twierdzi, że rzeczywistość to tylko subiektywna interpretacja mikrokosmosu, w którym porusza się człowiek. Być może życie jest tylko snem, z którego budzi nas śmierć. – Ale ty, Naichoryss, nie zrozumiałaś mnie. Myślę, że nie rozumiałaś mnie od początku. Śmierć. Tajemnica śmierci. Czy jest zapomnieniem, czy



nową przygodą? Czy przynosi spokój, jak uważa wielu? Czy jest jakimś wyższym poziomem egzystencji? Czy jest powtórny narodzeniem? Stworzono na jej temat tak wiele teorii, a tam mało naprawdę wiadomo! Spędziłem lata, rozmyślając o śmierci. Czasem rzucałem jej wyzwanie, czasem chyliłem czoła przed jej niezbadaną tajemnicą. Krąg bez początku i bez końca. Kiedy pierwszy raz odzyskałem tutaj świadomość, poczułem, że jest coś nierealnego w Altbur Keep. Pobudziło to moją ciekawość i pozostałem nieufny nawet wtedy, gdy spotkałem cię i gdy później przekonałem się, kim jesteś. Wiesz, sędzę, że mogłem wyrwać się spod twojego uroku – przynajmniej na początku. Byłem jednak zbyt ciekawy. Tak dalece, że w końcu poznałem własną śmierć. Myślę, że zbliżyłem się do niej tak bardzo, jak tylko człowiek może to uczynić i wróciłem do życia bogatszy, z nową wiedzą. Lecz okazało się, że i ona była mirażem. Obietnicą dalekich horyzontów. Odległa i niedostępna. Dziwne, lecz złudne przyjemności i tajemnice. Raz poznana, staje się tylko piaszczystą pustynią. Nuda z nieubłaganą sprawiedliwością karze butnych i zuchwałych. Towarzyszyła mi od wieków, nie dając chwili wytchnienia. Na nieszczęście, życie z regularną monotonią powtarza swe ulubione, najnudniejsze wzory. Zdawało mi się, że śmierć może być nową przygodą – ucieczką od świata, w którym wzrastałem, który stał się dla mnie męczarnią. Lecz śmierć – lub przynajmniej jakiś jej rodzaj, to, ku czemu zbliżyłaś mnie tak bardzo – jest tylko kolejną nieskończoną pustynią nudy. Czy ukryty w krypcie, czy wędrujący po otaczających te ruiny lasach, czy wskrzeszający marzenia przeszłości – wszędzie tak samo byłbym skazany na wieczność. Wydaje mi się nawet, że twoja propozycja tchnie większą nudą – taką, jakiej jeszcze nie zaznałem! – A zatem ujrzałem śmierć jako miraż – nic poza tym. To odkrycie rozpało we mnie bunt i dało mi siły, by powrócić do świata żywych. Ono także nakazuje mi teraz opuścić i ciebie, i Altbur Keep.

Naichoryss stała w świetle księżyca, jej drobnym ciałem wstrząsały dreszcze. Była bardzo napięta.

– Nie zmienię twego postanowienia, rozumiem to. Nawet gdybym chciała raz jeszcze oplątać cię, jesteś teraz na to zbyt silny.

Nagle smutek znikł z jej twarzy; zastąpiła go wściekłość.

– Jeśli nie mogę uczynić cię swym towarzyszem, możesz jeszcze stać się moją ofiarą! Rozerwę twoje delikatne gardło, wypiję ostatnią kropelkę twojej purpurowej krwi! O, tak – i zostawię twe ciało duchom na pożarcie – niech walczą o nie i pochłoną cię. Taki powinien być los wszystkich tych, którzy ośmielają się wtargnąć do mego królestwa! Jesteś teraz zbyt słaby, by mnie pokonać w tej chwili, gdy pragnę twój życie!

Oczy Kane’a błysnęły niebezpiecznie, ręka sięgnęła po miecz.

– Nie zmuszaj mnie, Naichoryss, abym użył siły! – warknął. – Czas spędzony z tobą okazał się pouczający. Wiedz, że nie żywię do ciebie urazy. Ale ostrzegam, że przeszkadzając mi opuścić Altbur Keep, szykujesz sobie zgubę!

Przez moment Kane sądził, że kobieta-wampir rzuci się na niego. Zamiast tego Naichoryss rzekła z westchnieniem:

– Być może powinnam cię zatrzymać. Nic już nie wiem. Czegokolwiek bym nie zrobiła, oznacza to koniec naszej miłości.

Mimo wszystko, była pełna dumy właściwej jej arystokratycznemu pochodzeniu.

– Ciągłe nie mogę uwierzyć, że tak szybko zapominasz, jak smakują moje pocałunki – uśmiechnęła się z rezygnacją. – Zatem odejdz i pozostaw mnie samą, jeśli jest taka twoja decyzja. Życzę ci, abyś zdołał umknąć duchom-pożeraczom i żołnierzom Jasseartiona. Tylko odejdz, zanim... Dopóki nie wyczerpała się moja gościnność. – Lecz zawsze pamiętaj, że jestem tutaj, w Altbur Keep. I kiedy trudno będzie ci znieść ciężar istnienia, gdy wspomnienie moich pieścot i pocałunków pojawi się

w twoich snach, wiedz, że w krypcie tej twierdzy dwa grobowce stoją wciąż blisko siebie. Pamiętaj, że w jednym z nich znaleźć możesz spokój, a w drugim jest miłość, która zawsze śnić będzie o tobie. Wtedy, gdy będzie ci to potrzebne, wróc do mnie, Kane, ukochany mój!

Kane wskoczył lekko na występ w murze.

– Będę pamiętał. Ale nie chcę, byś łudziła się co do mego powrotu. Altbur Keep nauczyło mnie czegoś; nie będę drugi raz przemierzał tej samej drogi.

– Czy jesteś tego pewien, Kane? – w jej głosie znów pojawiło się szyderstwo.

– Żegnaj, Naichoryss – brzmiała jego odpowiedź.

Ostrożnie, starannie wybierając drogę, Kane schodził w dół oddalać się od Altbur Keep. Gdyby uniknął przez opuszczoną wioskę, miałby szansę, że nie spotka duchów-pożeraczy aż do świtu. W dzień mógłby ukryć się w gałęziach drzew i spać. Upolowałby królika czy dwa i zaspokoił pierwszy głód. Kiedyś minąłby granicę Chrosanthe... Nasuwało mu się wiele możliwości!

U podnóża wzniesienia przystanął i obejrzał się, myśląc o tym pięknym dziecku śmierci, które skazał na samotną wędrówkę wśród zapomnianych ruin. Kane bardzo dobrze znał katusze samotności. Rozumiał ból Naichoryss, której jednym towarzyszem był teraz blask księżyca.

Ból? Czy umarły może odczuwać ból? Łzy w martwych oczach, zapewne skrzą się zimnym blaskiem w księżycowej poświacie.

# ZIMNE ŚWIATŁO

# PROLOG

W brutalnej walce zdobyli twierdzę ludożerców. Lord Gaethaa, znużony, patrzył na pobojuwisko. Zdjąwszy srebrny hełm otarł okrwawioną twarz wierzchem dłoni i odgarnął z oczu swoje jasne włosy. Czerwone słońce przeświecało przez dymy, które unosiły się jeszcze nad ruinami. Wnętrze fortecy było teraz śmietniskiem zwalonych murów, płonących i pogruchotanych budynków, maszyn oblężniczych i ciał poległych.

Mściciel zepchnął z przewróconego wozu ciało jakiegoś żołnierza i wyciągnął się na wolnym miejscu. Mimo bólu, jaki sprawiał mu każdy głębszy oddech – w najlepszym razie kilka połamanych żeber – lord Gaethaa był zadowolony. Odczuwał dumę, naturalną u człowieka, który brawurowo rozpoczął i wypełnił trudne zadanie; tyleż honorowe, co niebezpieczne. Z pewnością uznanie należało się także wielu innym. Nie zdołano by ugasić zaczarowanych płomieni, ani sforsować kamiennej bramy, gdyby nie geniusz Cereba Ak-Cetee, młodego czarownika z Tradoneli. Wspaniały był Mollyl, gdy przez płonącą wyrwę w murze prowadził pierwsze uderzenie – prosto w rozszalały tłum pachołków Purpurowej Trójki. Ludożercy bliscy byli nawet pokonania jego żołnierzy, mimo nieskuteczności czarów i rozgromienia ich sług. Wielu bohaterów zostało rozszarpanych przez ogromne maszyny wojenne należące do, zdawałoby się, niezwyciężonych purpurowych braci. Wtedy Gesell, pośredni brat, padł od strzały wycelowanej przez Anmuspiego w otwartą przyłbicę jego hełmu. Omsell, najstarszy, ciężko zraniony przez umierającego Malandera, zginął ostatecznie od miecza samego lorda Gaethaa. Pozostał tylko Dasell, ogłuszony upadkiem z murów fortecy podczas próby uciezki; tego lord Gaethaa kazał powiesić. Prawie czterometrowe ciało ludożercy kołysało się teraz w groteskowym tańcu, podczas gdy martwe już oczy spoglądały z góry na krainę, którą on i jego bracia sterroryzowali na tak długi czas.

Z mgły wynurzył się Alidor. Jego złamana ręka była teraz zabandażowana. "To ty obroniłeś mnie przed toporem Omsella", pomyślał lord Gaethaa i postanowił odstąpić wiernemu porucznikowi swoją część zdobyczy.

– Przeszukaliśmy cały teren, milordzie – Alidor chciał zasalutować lewą ręką, ale zdecydował, że wyglądałoby to niezręcznie. – Wszystkich żywych, których udało nam się odnaleźć, zgromadziliśmy razem. Nie jest ich wielu. Prawdopodobnie ludożercy kazali wymordować wszystkich jeńców, gdy było już jasne, że sforsujemy mury. Przeżyło może dwudziestu, których zatrzymaliśmy, czekając na pańskie rozkazy. Są to ich ostatni żołnierze i słudzy.

– Zabijcie ich.

Alidor przerwał, nie chcąc dyskutować z przywódcą.

– Milordzie, większość z nich przysięga, że byli zmuszeni do służby. Mogli słuchać rozkazów lub zostać zjedzeni, tak jak inni.

Twarz lorda Gaethaa wyrażała zdecydowanie.

– Większość prawdopodobnie kłamie – powiedział zimno. – Inni zasługują na gorszą karę, bo poniżyli się, aby ratować własne życie; stali się narzędziami niewolnictwa i przyczynili się do śmierci swoich towarzyszy. Nie, Alidorze – miłosierdzie jest godne pochwały, ale jeśli chcesz pokonać absolutne zło, musisz zniszczyć je absolutnie. Okaż miłosierdzie w walce z zarazą, a zostawisz tylko nasiona, z których rozpęta się znowu. Zabić ich wszystkich.

Alidor odwrócił się, aby wydać rozkaz, ale Mollyl, który przysłuchiwał się rozmowie, oddalał się już pośpiesznie na miejsce egzekucji. "Będzie mu się podobało" – pomyślał Alidor z niesmakiem, ale prędko odsunął buntowniczą myśl. Zwrócił się szczerze do lorda Gaethaa.

– Milordzie, zrobił pan dzisiaj naprawdę wielką rzecz. Przez lata ten kraj żył pod okrutnym

terrorem Purpurowej Trójki. Większość okolicy została ogołocona i nikt nie jest w stanie powiedzieć, ilu jeńców zakończyło życie na stole tych nikczemników. Wraz z upadkiem ludożerców ta ziemia powróci do życia, ludzie będą uprawiać zboża i sprzedawać swoje towary w spokoju, podróżni mogą czuć się odtąd bezpiecznie w tych okolicach. I tym razem, jak po poprzednich misjach, nie przyjmie pan od ludzi niczego poza wdzięcznością.

Lord Gaethaa uśmiechnął się i gestem nakazał mu milczenie.

– Proszę, Alidorze, zachowaj mowy pochwalne do czasu mojej śmierci; nie zniosę ich teraz. Wielu zginęło, walcząc przy mojej krucjacie, bez nich nie zdołałbym niczego. Oni są jedynymi, którzy zasługują na twoje pochwały. Nie – jego głos był natchniony. – Moim jedynym życzeniem jest zniszczyć tych wysłanników zła. To jest celem mojego życia i nie chcę niczego w zamian.

Na pokrytej bitewnym kurzem twarzy Alidora odmalował się podziw.

– A teraz, gdy pokonaliśmy Purpurową Trójkę, jaka będzie nasza następna misja?

Głos lorda Gaethaa stał się uroczysty.

– W mojej następnej misji odszukam i unicestwię jednego z najniebezpieczniejszych agentów zła, jakich zna historia i legendy. Jutro wyruszam, aby zgładzić człowieka zwanego Kane'em.

# I ZIEMIA ŚMIERCI

W owych czasach ciążyło na Kanie przerażające przekleństwo nieśmiertelności. Opanowały go na długo ciemne noce bezdennej rozpacz, podczas których zupełnie opuszczał świat i spędzał czas na mrocznych rozmyślaniach. Jego umysł, błędząc poprzez stulecia, wykrzykiwał wciąż niespełnioną tęsknotę za spokojem. W końcu jakieś nowe zdarzenie, odmiana losu, niespodziewany zakręt, przerywał ten beznadziejny stan i popychał go znów ku światu ludzi. Wówczas lodowiec rozpacz topniał pod szatańskim żarem wyzwania rzuconego starożytnemu bogu, który go przeklął.

Zdarzyło się, że taki nastrój opanował Kane'a, gdy przybył on do Sebbei. Uciekł właśnie z pustyni Lormańskiej, gdzie jego bandyci napadali na bogate karawany i pustoszyli oazy. Siły rabusiów zostały w większości zniszczone w wyniku sprytnego podstępu, a sam Kane zbiegł do krainy duchów, Dermonte. Tutaj nie mogli go dosięgnąć wrogowie. Zaraza, która unicestwiła żyjący tu naród, wciąż napędzała ludzi trwogą. Chociaż zaatakowała tę ziemię prawie dwadzieścia lat temu, wciąż nikt tu nie przybywał i nikt jej nie opuszczał.

Umarła Dermonte. Dermonte, której miasta stały puste, a wsie powoli obracały się w knieję. Dermonte, kraina śmierci, gdzie tylko cienie zamieszkiwały opuszczone miasta, gdzie żywi byli nikłą garstką wobec nieprzeliczonych rzesz umarłych. Duchy błędziły tam po pustych ulicach krok w krok za ludźmi, a ludzie szli ramię przy ramieniu z duchami i tylko z bliska można było odróżnić jednych od drugich. Jakiś kaprys natury ukształtował przed wiekami ten kraj, wciśnięty pomiędzy wielkie pustynie Lartrokcji na zachodzie i Lormeana na wschodzie. Zielona ziemia wśród piasków, łagodne wzgórza i chłodne jeziora przyciągnęły ludzi, którzy osiedlili się tutaj. Dermonte było gigantyczną oazą, gdzie żyło się przyjemnie, pracując w małych gospodarstwach i handlując z wielkimi karawanami, które przemierzały pustynię ze wschodu na zachód.

Z jedną z takich karawan przybyła zaraza. Zaraza, jakiej ta ziemia jeszcze nie widziała. Być może w dalekim kraju, z którego przyszła, ludzie stawili jej opór, ale tu, w żyznym Dermonte przemknęła jak huragan przez zieloną ziemię i tysiące spłonęły w jej ogniu. Krainę uwięziła pustynia. Zaraza nie była w stanie przekroczyć piasków, więc z całą furią spadła na ten spokojny kraj. Gdy w końcu odeszła, ziemia była już jednym opustoszałym grobowcem, bo nie było nawet dość żywych, aby pochować wszystkie jej ofiary.

Nielicznych plaga oszczędziła. Większość z nich zebrała się w Sebbei, dawnej stolicy, liczącej sobie niegdyś dziesięć tysięcy mieszkańców. Odtąd kilkuset ludzi żyło tam w oczekiwaniu na śmierć.

Kane przybył do Sebbei, szukając ukojenia. Nieśmiertelny zamieszkał w kraju śmierci. Przyciągnął go spokój tego miasta. Koń niósł jeźdźca po zarośniętych drogach, przez gospodarstwa, w których lasielitościwie zatarł ślady ludzkiej pracy. Jechał przez zawałone gruzami ulice opustoszałych miast, witany przez ośleplę okna i półotwarte drzwi martwych domów. Często mijał sterty białych kości i niekiedy jakiś szkielet zdawał się uśmiechać i mrugać do niego porozumiewawczo, lub grzechotać kośćmi na powitanie. *Witamy czerwonowłosego jeźdźca. Witamy cię oczami śmierci, witamy człowieka obłąkanego klątwą. Czy zostaniesz z nami? Czemu jedziesz tak szybko?*

Ale Kane zatrzymał się dopiero w Sebbei. Wjechał przez nie pilnowaną bramę. Wlokąc się cichymi ulicami, mijał rzędy pustych domów. Aleje utrzymane były jednak w czystości i niektóre domy zdradzały obecność mieszkańców. Smutne twarze wpatrywały się w niego ze zdziwieniem. Nikt go nie wołał, nikt nie zadawał mu pytań. To było Sebbei, gdzie żyło się śmiercią i tylko na nią się czekało. Sebbei ze swoimi nielicznymi mieszkańcami zamkniętymi w skorupie milczenia. To miasto wydało się Kane'owi dużo bardziej niesamowite niż tamte, zamieszkałe wyłącznie przez umarłych osiedla.

Zatrzymał się w jedynej działającej karczmie. Atakowany zewsząd przez przerażającą martwość miasta stał przez chwilę, oblizując wyschnięte wargi. Znad prawego ramienia sterczała rękojeść jego długiego, przymocowanego do pleców miecza. Broń grzechotała za każdym razem, gdy poruszał mięśniami, aby wypędzić z nich sztywność. Zeskoczył z siodła i wszedł do karczmy, wpatrując się w oczy witających. Oczy tak otępiałe, tak martwe, że zdawały się być pokryte jakimś osadem.

– Jestem Kane – powiedział. Jego głos zabrzmiał donośnie, bo w Sebbei mówiło się tylko szeptem. – Jestem zmęczony podróżą przez pustynię i zamierzam zostać tu przez pewien czas.

Kilku siedzących przy stołach ludzi skinęło głowami i wszyscy wrócili do swoich spraw. Kane wzruszył ramionami i próbował wypytywać mieszkańców o różne rzeczy. Na koniec wskazano mu bladego starca, siedzącego przy stole w rogu. Był to Gavein, pełniący w Sebbei funkcję burmistrza. Była to ironiczna godność, bo niewiele miał obowiązków w tym mieście duchów, a prestiż był jedynie dalekim echem dawnej tradycji. Gavein patrzył na Kane'a, jakby nie rozumiejąc, czego chce od niego ten przybysz, ale po chwili ocknął się.

– Tu jest wiele pustych domów – powiedział. – Proszę zająć którykolwiek. Są pałace i szałas, wedle życzenia. Większa część naszego miasta została zaniedbana przez wszystkie te lata od czasów zarazy, więc tylko duchy będą zainteresowane pańskim przybyciem. Jedzenie może pan kupić tu na bazarze. Może pan też uprawiać ziemię. Nasze potrzeby są małe, więc pewnie zmęczy pana jednostajność potraw. Ta gospoda zapewnia nam rozrywkę, jeśli pana interesują takie rzeczy. Proszę zostać u nas, jak długo się panu spodoba. Może pan robić co pan chce, nikt nie będzie się wtrącał. Jesteśmy ludźmi umierającymi. Goście pojawiają się rzadko i niewielu zostaje na dłużej. Nasze myśli i zwyczaje są naszymi własnymi i nie obchodzi nas, co pana tutaj sprowadziło. Chcemy tylko zostać sami z naszymi problemami, zostawimy też pana z pańskimi.

Gavein zarzucił płaszcz na chude ramiona i pogrążył się w swoim śnie.

Kane włóczył się po pustych ulicach, z rzadka tylko obserwowany przez jakąś parę zamglonych oczu. W końcu wybrał sobie na mieszkanie starą willę kupiecką, której bogate umeblowanie odpowiadało jego gustom, a zaniedbane ogrody wokół małego jeziora obiecywały pocieszenie jego zbolącej duszy.

Nie mieszkał tu sam. Często przychodziła dziwna dziewczyna o imieniu Rehhaile. Wielu uważało ją za czarownicę. Ona jedna, spośród mieszkańców Sebbei, okazywała przybyszowi więcej, niż pełną roztargnienia obojętność. Spędzała w towarzystwie Kane'a długie godziny i na wiele sposobów starała się mu pomóc.

## II ŚMIERĆ WRACA DO DERMONTE

Do Dermonte wracała śmierć. Jechała na dziewięciu wynędzniałych wierzchowcach, mijając zarośnięte pola, puste domostwa, witana szyderczymi uśmiechami szkieletów. Śmierć powróciła do tej krainy, przyodziana w zwodnicze maski idealizmu, obowiązku, zemsty, przygody. Wszystkowidzące oczy opuszczonych domów i zbielejących czaszek rozpoznawały ją w nowym przebraniu i witały w domu.

Tylko dziewięciu mężczyzn. Wyruszyło ich wielu, sezonowych najemników, zwołanych przez lorda Gaethaa, poszukiwaczy przygód, ludzi nienawiści. Ale droga była trudna i część z nich odpadła zaraz na początku, inni zdezerterowali później. W Omlipttei banici wzięli ich za lormańskich gwardzistów i wielu zginęło w przygotowanej przez nich zasadzce. Na granicy Dermonte niektórzy wycofali się, nie ufając zakłęciu Cereba Ak-Cetee, które miało chronić ich przed zarazą. Lord Gaethaa ogłosił ich zdrajcami i rozkazał karać śmiercią wszystkich dezertersów. Podniósł się bunt i rozgorzała walka. W końcu dziewięciu tylko ludzi ruszyło do Sebbei, gdzie według słów Cereba zatrzymał się Kane.

– Wystarczy nas tylu – powiedział lord Gaethaa. – Kane'a musi spotkać los, na jaki zasłużył.

Lord Gaethaa, zwany też Krzyżowcem, Dobrym lub Mścicielem był dziedzicem rozległego majątku w Kamathae. Jako chłopiec większość czasu spędzał w towarzystwie żołnierskiej braci. Wzrastał w pogardzie dla luksusu i bezsensu pustej egzystencji ludzi swojej klasy. Pożądał przygód takich jak te, o których opowiadano sobie przy ogniskach. Już jako mężczyzna postanowił użyć swojego bogactwa do walki z grzebiącymi rodzaj ludzki sługami zła. Stał się fanatykiem dobra. Poznawszy istotę zła, gotów był przejść każdą przeszkodę na swojej drodze, dotrzeć do jądra ciemności i zetrzeć je raz na zawsze z powierzchni ziemi. Przez kilka lat walczył przeciwko pomniejszych tyranom, czarnoksiężnikom, grabieżcom i potworom. Zawsze zwyciężał zło w imię dobra. Mocą prawa ujarzmił chaos. Aż wreszcie teraz wyruszył przeciwko Kane'owi, którego imię zawsze go fascynowało, choć przez długi czas traktował tego człowieka jako postać legendarną. W końcu zrozumiał jednak, że w starych opowieściach kryje się prawda. Kane był dla Krzyżowca wielkim wyzwaniem.

Alidor towarzyszył lordowi Gaethaa od początku. Młody potomek zbiedniałego Lartroksjańskiego rodu wcześniej opuścił dom i podążył za Krzyżowcem, gdy ten organizował swą pierwszą misję. Alidorowi szybko udzielił się idealizm wodza i młody człowiek z entuzjazmem i oddaniem uczestniczył we wszystkich wyprawach. Był teraz porucznikiem i najbardziej zaufanym przyjacielem lorda Gaethaa.

Cereb Ak-Cetee był młodym czarownikiem z równin Tranodeli. Chodził w jedwabnym płaszczu, miał sylwetkę chłopca, jednak jego niegroźny wygląd był tylko pozorem. Cereb potrzebował bogactwa i doświadczenia, aby kontynuować studia na poziomie odpowiadającym jego wysokim ambicjom. Lord Gaethaa dostrzegł zdolności czarownika i płacił sownie za jego usługi.

Następnym według rangi jeźdźcem był Mollyl. Pochodził z okrytej złą sławą wyspy Pellin w Imperium Thovnozyjskim. Wielka odwaga czyniła go niezastąpionym podczas bitwy. Mollyl śmiał się tylko, gdy ktoś inny jęczał w agonii. Prawdopodobnie poszedłby za lordem Gaethaa nawet bez zapłaty, gdyż wódz dawał mu wciąż nowe okazje wyżycia się w ulubionych rozrywkach.

Również z Thovnosu, lecz z wyspy Josten pochodził Jan. Dziesięć lat wcześniej, gdy piracka flota Kane'a opanowała Imperium, rodzinę Jana wymordowano, a jemu samemu Kane obciął prawą dłoń, gdy ten próbował stawiać opór. Od tego czasu Thovnozyjczyk nosił na prawym przegubie rodzaj protezy, do której mógł przymocowywać specjalny hak lub ostry szpikulec. Do wyprawy przyłączył się przez chęć zemsty.



Niemłody już Annuspi Łucznik chwalił się, że umie trafić strzałą do celu z odległości stu kroków. Nieliczni, którzy widzieli jak strzela przekonali się, że mówił prawdę. Szczęście opuściło go w Nostoblet w Lartroksji Południowej. Po upadku przewrotu pałacowego dostał się do niewoli i przypadkiem tylko umknął ukrzyżowania. Lord Gaethaa wykupił go na licytacji, gdy dowiedział się o jego umiejętnościach. Dla Annuspiego oznaczało to po prostu nowe zatrudnienie. Nie istniała dla niego kwestia słusznej i niesłusznej sprawy. Zwyczajnie, wykonywał rozkazy swego nowego wodza.

Dron Missa był wolnym poszukiwaczem przygód. Urodził się w Waldanie w rodzinie o tradycjach żołnierskich, ale nawet wśród swoich uchodził za świetnego szermierza. Lord Gaethaa obiecywał wielką przygodę, więc Missa radośnie przyłączył się do wyprawy.

Dwóch pozostałych szukało zemsty. Pierwszym był Beli, wieśniak z Gór Myceum. Był on tyleż silny co tępy i brutalny. Pięć lat wcześniej Kane użył dwóch jego sióstr w charakterze ofiar w czarnoksiężskim eksperymencie. Beli nigdy nikomu nie powiedział, jaki rodzaj zemsty obmyślił.

Sed Dosso uważnie słuchał opowieści Bella o torturach, bo sam również miał porachunki z Kane'em. Kilka miesięcy wcześniej walczył przeciw jego bandom na pustym Lormańskiej. Przegrał jednak i dostał się do niewoli. Kane przywiązał go wtedy do słupa i zostawił na słońcu. Przypadek tylko ocalił nieszczęśnika od śmierci. Sed przyłączył się do drużyny lorda Gaethaa, gdy tylko usłyszał o wyprawie.

Przemierzali więc Dermonte milczący, każdy pogrążony we własnych myślach. Wraz z nimi jechała śmierć.

### III KREGI NA WODZIE

Księżyc rzucał blade światło na zgrabną sylwetkę Rehhaile. Dziewczyna patrzyła, jak Kane rzuca kamyczki do jeziora. Miała gęsią skórę i drżała z zimna, przytuliła się więc do jego ciepłego ciała i z zadowoleniem oparła mu głowę na ramieniu.

Rehhaile nie dzieliła ze swoimi ziomkami uczuć apatii i rozpacz. Cieszyła się słońcem, gdy inni siedzieli w domach. W rezultacie opaliła się na brązowo tak, że kolor skóry na jej piegowanej twarzy odpowiadał odcieniowi rozpuszczonych włosów. Rysy miała nieco wyzywające ale tak, że jej kobiecość nic na tym nie traciła. Nieduże, pełne piersi i szczupłe biodra czyniły tę dwudziestolatkę o kilka lat młodszą.

Długimi palcami masowała potężne mięśnie ramion i szyi Kane'a, jakby chcąc nadać im kształt sfalowanej powierzchni jeziora. On zdawał się ją ignorować, ale dziewczyna wiedziała, że jest podniecony.

Rehhaile była niewidoma. Jej matka umarła podczas zarazy, kiedy dziecko było jeszcze w jej łonie. Ojciec nie chcąc, aby śmierć zabrała mu wszystkich, wraz z lekarzem wydobył Rehhaile z wnętrza martwego ciała. On sam i lekarz zmarli w przeciągu tygodnia, ale dziecko jakimś sposobem ocalało, chociaż zaraza zniszczyła wszystko wokół. Zaopiekowała się nią jakaś kobieta. Dermonte było wtedy krajem bezdzietnych matek i osieroconych dzieci. Później sama starała się jakoś przeżyć, przez większość czasu kręcąc się wokół jedynej w Sebbei gospody.

Rehhaile była ociemniała od urodzenia. W zamian obdarzona była jednak zdolnością patrzenia nieskończenie głębszego. Makabryczne narodziny, mutacja genetyczna, kaprys jakiegoś boga – przyczyna była nieznana i nieważna. Otrzymała psychiczny dar postrzegania daleko bardziej cudownego niż wzrokowe. Rehhaile potrafiła osiągnąć zespolenie swojego umysłu z innym. Poprzez ten niezwykły kontakt mogła patrzeć oczami innego człowieka, słuchać jego uszami, czuć opuszkami jego palców. Jednocześnie dziewczyna dzieliła także cudze odczucia; nie w tym stopniu, aby czytać w myślach, lecz aby doświadczać miliardów drobnych emocji, błędzących po niezliczonych zakrętach umysłu. Ta niesamowita umiejętność wyrobiła jej wśród mieszkańców Sebbei opinię czarodziejki. Pograżeni w swej rozpacz, zaakceptowali ją jednak bez zainteresowania czy zdziwienia.

Uczestnicząc w życiu emocjonalnym innych, Rehhaile dzieliła cierpienia tej duszy, z którą się łączyła. Jeżeli był to ból, próbowała złagodzić go, jak tylko mogła. Ludziom z Sebbei nie sposób było jednak pomóc. Ich cierpienie było niepojęte i beznadziejne, a uczucia – podobne do jałowej ziemi. Mieszkańcy Sebbei ignorowali Rehhaile tak, jak wszystkich i wszystko, prócz swych gorzkich myśli. Ona zaś, będąc skazaną na życie wśród nich, smuciła się ich smutkiem i pograżała się w przenikającym duszę mroku.

Dlatego fascynujący byli dla niej ci nieliczni, których losy zapędziły do Sebbei. Mogła kąpać się w egzotycznych kolorach ich myśli, odkrywając wszechświat całkiem nowy i niebywale interesujący. Często próbowała przekonać tych przybyszów, aby wzięli ją ze sobą w drogę przez pustynię, ale za każdym razem nieszczęsne miano czarownicy odstraszało od niej potencjalnych wybawców.

Gdy pojawił się Kane, Rehhaile doświadczyła istnienia duchowych światów niepodobnych do niczego, co przedtem odkryła w ludzkich umysłach. Był dla niej wirującym, niezbadanym labiryntem. Większość jego uczuć była dla niej całkowicie obca, wiele ją przerażało, ale rozpoznała w nim krzyczącą potrzebę odpoczynku, niezaspokojone pragnienie ciszy. Trwała więc przy nim w jego agonii, jak mistrzyni tajemnej wiedzy i po miesiącach zaczęło jej się wydawać, że ból powoli ustępuje.

Rehhaile figlarnie pociągnęła go za kosmyk rudych włosów.

– Hej, co widzisz, kiedy patrzysz na jezioro? Kane był myślami daleko stąd.

– Kręgi na wodzie, podobne do przemijającego czasu. Narodziny człowieka są jak plusk, gdy kamyk wpada do jeziora. Każdy, swoim życiem, wzbudza fale. Większe fale pochłaniają mniejsze. Ale koniec zawsze jest taki sam; kręgi oddalają się, nikną i jezioro znów staje się gładkie. Czeka na nowe życia, nowe kamienie.

– Wymyśliłeś to w tej chwili?

– Nie, słyszałem tę alegorię od mędrca Monpelloni, u którego studiowałem niegdyś. Tylko że ja nie mieszcę się w tym schemacie. Jestem jak samotna łódka, walczę i wzbudzam nie kończące się pokolenia fal na powierzchni egzystencji.

– Widzę cię tutaj. Jak stary patyk, rzucony na wodę... Zaciśnęła mocno palce na jego ramieniu.

– Bądź ze mną, Kane. Kochasz mnie?

Odwrócił się tak gwałtownie, że Rehhaile o mało nie wpadła do wody. Wbił w nią przenikliwe spojrzenie. Jakże przerażały ją te oczy, kryjące w sobie zapowiedź śmierci. Czowała, że jego wzrok jest dziki, bardziej niż kiedykolwiek.

– Nie, Rehhaile – powiedział dobitnie. – Nic nie rozumiesz. Twoje życie jest tylko jednym małym kręgiem na jeziorze, a moje – niezmiennym źródłem fal, płynących do nieskończoności. Giniesz wśród nich, ledwie zauważona.

Rehhaile drżała.

– A czy ty mnie kochasz? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała łagodnie. – Ciebie nie można kochać. Ja ci tylko współczuję, staram się łagodzić ból, który uleczony nie może być nigdy.

– Myślę, że zaczynasz rozumieć – powiedział Kane z gorzkim uśmiechem.

Położyli się, spleceni razem, w bladym świetle księżyca. Nad nimi spokojnie spały duchy Dermonte.

## IV KRZYŻOWIEC W SEBBEI

– Ich twarze są puste jak te czaszki, które mijaliśmy – skomentował Dron Missa, schylając długą szyję, aby przyjrzeć się jednemu z mieszkańców miasta. – Rybie twarze. Jadałem zresztą ryby, które w swoich rozgotowanych oczach miały więcej inteligencji niż ci kretyni.

– Pomyśl, że żywią się wyłącznie surowym mięsem. Szydził Ak-Cetee.

Misa uśmiechnął się sztucznie.

– Nie ma nic złego w surowym mięsie. Z odrobiną soli jest bardzo smaczne. Kiedyś założyłem się, że zjem żywą wiewiórkę, całą od wąsów do ogona... Od tamtej chwili nienawidzę tego małego ścierwa...

– Miałeś pilnować, żebyśmy nie przegapili tej gospody – przerwał Gaethaa. Jego nerwy były wciąż napięte od czasu, jak wjechali do Sebbei. Zrujnowane miasta nie były dla niego nowością ale całkowity brak zainteresowania ze strony miejscowych zniechęcał. Obojętność na widok uzbrojonych po zęby obcych w ich własnym mieście niepokoiła, a nawet była w subtelny sposób obraźliwa.

Pierwszym człowiekiem na którego się natknęli był potargany, gruby mężczyzna z żółtawą brodą. Siedział koło nieczynnej fontanny w pobliżu bramy miasta. Gapił się na nich przez pewien czas z tępym wyrazem twarzy, po czym odbiegł, gdy Alidor chciał go o coś spytać. Takie witanie nie wróżyło niczego dobrego; Inni odwracali się na widok przybyszów lub zamykali drzwi swoich domów i lordowi Gaethaa przypominały się, zasłyszane w czasie podróży przez Lorman opowieści, że w Sebbei mieszkają tylko duchy i szaleńcy. Było jasne, że nie spotkają się z żadną zorganizowaną opozycją. Będą mogli zaatakować bezpośrednio. Lord Gaethaa był przygotowany na konieczność zastosowania subtelniejszej taktyki w przypadku, gdyby Kane ustanowił się władcą miasta.

W końcu, wypytując cierpliwie wszystkich spotkanych, dowiedzieli się o istnieniu niejakiego Gaveina, pełniącego obowiązki burmistrza. Można go znaleźć w karczmie Jethranna. Sebbei było starym miastem o chaotycznej zabudowie. Proste ulice splątane były w prawdziwy labirynt, a mieszkańcy wskazywali drogę do karczmy w taki sposób, jakby zakładali, że obcy znają ich miasto tak, jak oni sami.

Po jakimś czasie kręcenia się w kółko zobaczyli, siedzącą pod drzewem, ciemnowłosą dziewczynę. Zdawała się spać, bo nie zauważyła ich, dopóki nie podeszli zupełnie blisko. Wówczas gwałtownie podniosła głowę i spojrzała na nich niesamowitym wzrokiem dużych, przestraszonych oczu.

– Na Thoema, przynajmniej jest to ktoś, kto nie stoi obiema nogami w grobie – zaśmiał się Dron Missa.

– Hej, panienko, pomożesz zmęczonym wędrowcom znaleźć chłodne miejsce odpoczynku? Szukamy gospody Jethranna.

Dziewczyna wstała, jej twarz zastygła w przerażeniu. Lord Gaethaa przemówił łagodnie, wyjaśniając, że on i jego ludzie przejeżdżają przez Sebbei, że...

– Dziewczyna rzuciła się do ucieczki. Jeźdźcy wybuchnęli śmiechem, zadzwoniły końskie kopyta. Nieszczęsna istota jęknęła z przerażenia, czyjeś brązowe ramię poderwało ją z ziemi i posadziło na siodle.

Mollyl, śmiejąc się, krępował jej ręce.

– Przetnij więzy, kotku – szydził. – Taka młoda dziewczyna jak ty musi czuć się samotna wśród tych wysuszonych strachów na wróble. Czy dlatego zmykasz, gdy zobaczysz jakiegoś normalnego człowieka? Może nauczyć cię grzeczności wobec obcych?

– Daj spokój, Mollyl, nie chcę przestraszyć jej jeszcze bardziej – mruknął lord Gaethaa. – Przestań

się wiercić, dziecko, Szukamy karczmy Jethranna. Wybacz moim ludziom grubiaństwo, nie chcemy cię skrzywdzić. Czy teraz możesz pokazać nam drogę?

W jej oczach wciąż widać było strach, ale napięcie jakby zmalało. Siedziała bezbronna, twardą ręką przyciśnięta do piersi Mollyla.

– To niedaleko – odpowiedziała łamiącym się głosem. – Trzeba jechać tą ulicą może jakieś pół mili. Po lewej stronie jest plac targowy, gospoda jest na placu.

– Stokrotne dzięki, moje dziecko – powiedział lord Gaethaa. – Więc byliśmy na dobrej drodze.

Dziewczyna wierciła się, próbując zejść z siodła. Na jej twarzy wciąż malowało się zwierzęce przerażenie. Cereb Ak-Cetee chrząknął, zaintrygowany; podjechał bliżej i przyjrzał się jej uważnie. Marszcząc czoło, przesunął swój długi palec przed jej oczami. Wzdrygnęła się, gdy musnął jej skórę.

Lord Gaethaa wydał rozkaz i Mollyl niechętnie pozwolił swemu jeńcowi zeskoczyć na ziemię. Otrząsając się ze wstrętem, dziewczyna zrobiła krok do tyłu, wpatrując się w nich z wyrazem fascynacji. Nagle odwróciła się i zniknęła gdzieś między domami.

– Ona jest niewidoma – powiedział Cereb Ak-Cetee, gdy ruszyli dalej – zauważyliście? Jej oczy są ślepe.

– Co masz na myśli? – zapytał Alidor. – Zachowywała się tak, jakby widziała świetnie. Miała dziwne spojrzenie, zgoda, ale na pewno nie była ślepa.

– Mówię, że była ślepa – powtórzył czarownik. – Nie jestem pewien, w jaki sposób odbierała wrażenia, ale wiem dostatecznie dużo, żeby rozpoznać ślepotę w oczach, które widzę przed sobą.

– Tak, w porządku – odpowiedział pojednawczo Alidor. Nie chciał prowokować drażliwego czarownika.

– Ej, Beli – wyszeptał Dron Missa – Cereb mówi, że nam wskazała nam drogę ślepa dziewczyna. Czy nie budzi to podejrzeń nawet w twojej ospałej głowie?

– Śmieszny jesteś Missa – mruknął Beli – naprawdę śmieszny. Powinieneś zostać błaznem, byłbyś dobry.

Alidor zastanawiał się, jak długo Missa wytrzyma te docinki. Miecz Waldańczyka był w jego ręku zawsze zabójczy, ale potężny Beli mógł bez trudu rozszarpać przedtem Missę na kawałki.

– To tam. – Jan wyciągnął swój hak. – Do diabła, aż tu czuje się zapach wina.

– Dobrze – rzekł lord Gaethaa. – Ta część miasta jest równie martwa, jak cała reszta. Z pewnością nie istnieje tu żadna zorganizowana siła zbrojna, ale nie wiadomo co zamierza Kane. Zasięgnijmy języka, zanim zaczniemy działać. Udawajmy podróżnych, którzy przejeżdżają przez Dermonte i chcą odpocząć w gospodzie. Alidor i ja wybadamy tego Gaveina, jeśli jest tutaj. Niech nikt nie wymienia nazwiska Kane, dopóki nie dam znaku. I ostrożnie z tym winem, zdarzenia mogą potoczyć się szybko.

Lord Gaethaa i towarzysze przywiązali konie przed dwupiętrowym kamiennym budynkiem i weszli przez otwarte drzwi. Powietrze wewnątrz było chłodne, chociaż duszne. Kilku ludzi siało przy barze lub siedziało przy stołach, zastawionych kubkami, z winem. Przyciszone rozmowy umilkły, gdy jeźdźcy weszli, kierując się przez zadymione pomieszczenie w stronę baru. Po chwili, kiedy ucichło zamieszanie, ludzie powrócili do swoich spraw i cichy szmer rozmów zabrzmiał od nowa.

Jethrann, właściciel karczmy, z pustym uśmiechem przyjął monetę i przyniósł wino. W odpowiedzi na pytanie lorda Gaethaa wskazał burmistrza, siedzącego na swoim stałym miejscu i na wpół uśpionego.

Ocierając z wąsów krople wina, lord Gaethaa ruszył w stronę stołu Gaveina. Za nim, z butelką w ręku, szedł Alidor.

– Można się przysiąc? – zapytał lord Gaethaa. Gavein wzruszył ramionami.

– Proszę bardzo.

– Napije się pan z nami? – zaproponował Alidor, widząc pusty kubek Gaveina.

Coś takiego – odezwał się burmistrz. – Grupa uzbrojonych osiłków przybyła do miejsca, gdzie widzimy może tuzin obcych na rok i od razu chce pić z naczelnikiem miasta. Może najemnicy są teraz lepiej niż kiedyś wychowani, chociaż raczej wątpię. W każdym razie dziękuję. Czego panowie sobie życzą?

– Nazywam się Gaethaa – przedstawił się Krzyżowiec, zamierzając od razu przejść do rzeczy.

Gavein nie zareagował, chyba nigdy nie słyszał tego imienia. Lord Gaethaa nie był zarozumiały i zdawał sobie sprawę, że opowieści o jego czynach miały niewielką szansę dotrzeć do Sebbei. Spróbował więc od innej strony.

– Widzę, że moje imię nie jest znane tu w Dermonte, ale jest wiele imion znanych dużo lepiej niż Gaethaa. Weźmy na przykład imię Kane. Nosi je człowiek, którego sława obiegła cały świat. Doszły mnie słuchy, że Kane przejeżdżał przez to miasto. Może pan się z nim widział?

– Znam człowieka o tym imieniu – zgodził się Gavein. Lord Gaethaa pochwycił znaczące spojrzenie Alidora.

– Być może to nie ten sam człowiek. Kane, o którym mówię jest istnym gigantem. Ma prawie dwa metry wzrostu i mięśnie, jakby wzięte od trzech silnych mężczyzn. Ma szeroką twarz, rude włosy i często nosi krótką brodę. Zazwyczaj miecz ma przytroczony na plecach, jak rycerze z Carsultyalu. Jest leworęczny, choć doskonale trzyma miecz w obu rękach. Jego oczy... trudno je zapomnieć. Ma niebieskie oczy i jakąś obłąkaną groźbę w spojrzeniu...

– Mówimy o tym samym człowieku – oświadczył Gavein niechętnie. – Co w związku z tym?

Lord Gaethaa siłą woli powstrzymał się od powiedzenia wszystkiego.

– Więc Kane jest w Sebbei, czy tak?

Burmistrz wpatrywał się w swój kubek z winem.

– Tak, Kane jest w naszym mieście. Thoem raczy wiedzieć, po co tu został. Mieszka w starej willi kupca Nandai. Jediną osobą, która wie o nim więcej jest Rehhaile. Jesteście jego przyjaciółmi?

Lord Gaethaa zaśmiał się, wstając od stołu. Widząc to jego ludzie przy barze położyli ręce na broni, lecz cofnęli je, ujrawszy wyraz triumfu na pociągłej twarzy Krzyżowca.

– Nie, Kane nie jest moim przyjacielem – powiedział dobitnie. Ludzie przy stolikach spojrzeli na niego, zaskoczeni.

– Na całym świecie zwań mnie Mścicielem. Drogą mego życia uczyniłem ściganie i bezwzględne niszczenie agentów zła, niosących śmierć i zagładę. Zbyt długo zło panowało nad nami, zbyt długo jego wyznawcy działali nierozpoznani. Ono kierowało życiem ludzi przy pomocy bezlitosnej siły, a rodzaj ludzki zmuszony był kłaniać mu się pokornie, aby umknąć całkowitego unicestwienia. Poprzysiągłem zgładzić sługi zła wszędzie tam, gdzie trzymają ludzi w niewoli. Wielokrotnie staczałem bitwy z siłami zła i za każdym razem wygrywałem z pomocą większej potęgi, dobra. Zawsze miałem odwagę spojrzeć przeciwnikowi prosto w oczy, dlatego walczyłem z nim na jego własnym terenie. Wprowadzałem porządek tam, gdzie panował chaos. Zwalczałem zło, stosując tę samą przemoc, której używali jego agenci. Siłą zwalczałem siłą, brutalnością – brutalnością.

Twarz Krzyżowca skąpana była w demonicznym blasku. Z jego głosu emanowała jakaś dzika moc. Wszyscy wpatrywali się weń w najwyższym napięciu, zahipnotyzowani przemową tego świętego, czy szaleńca. I nawet tu, w Dermonte, nikt nie ośmielił się zignorować czaru, jaki na nich rzucił.

Kontynuując orację, lord Gaethaa wskazał na swoich ludzi.

– Oni są ze mną. Niewielka to armia, ale złożona z samych dobrych żołnierzy. Wielu z nich walczyło przy mnie podczas moich poprzednich wypraw. Wszyscy wytrwali w niebezpieczeństwach i oto jesteśmy tu w Sebbei, aby zawstydzić bohaterów dawnych legend. Przybyłem tu z moimi ludźmi,

aby zgładzić tego potwora, który nazywa siebie Kane'em. Jestem więc i chcę uwolnić wasze miasto od Kane'a.

– Ale Kane nic nam nie zrobił. Jak powiedziałem, mieszka w willi na końcu miasta. Widujemy go tylko od czasu do czasu, gdy przychodzi kupić coś do jedzenia. Dlaczego nie wyładuje pan swojej złości gdzie indziej?

Lord Gaethaa był zdumiony. Oszołomiony obojętnością burmistrza, popatrzył na Alidora by stwierdzić, czy szaleństwo ogarnęło wszystkich obecnych. Alidor wypił łyk wina i powiedział w języku Kamathae:

– Być może, milordzie, nie doceniamy zaściankowości tych ludzi. To niesamowite, ale sądzę, że oni nie mają najłżejszego pojęcia o tym, kim może być Kane. Dlaczego nie pozwolić mu zostać w tym mieście?

Powtórnie zaskoczony lord Gaethaa odezwał się wściekle.

– Oczywiście nie zdajecie sobie sprawy, jaki diabeł mieszka wśród was. Znając jego historię można być pewnym, że ma już w głowie jakiś demoniczny plan opanowania waszego kraju. Spotykałem w przeszłości różne bezlitosne, ciemne potwory w ludzkiej skórze, ale Kane jest najgorszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. Jego zbrodnie są tak wielkie i tak liczne, że większość ludzi uważa go za postać wyłącznie legendarną. Sam kiedyś myślałem o nim w ten sposób, dopóki podczas moich krucjat nie natknąłem się na jego krwawe ślady. Legendy, niezliczona ilość legend. Niezwykłe, jak głęboko sięgają w ludzką historię. Częściowo z pewnością zmyślane, zawierają jednak wystarczająco wiele faktów przyciągających moją uwagę. Legendy te mówią, że Kane jest nieśmiertelny a nawet, że był jednym z pierwszych ludzi. Mówią, że zbuntował się przeciwko swemu stwórcy, zapomnianemu bogu, który próbował wykreować doskonały rodzaj ludzki według swojej niedoskonałej idei. Po wielokrotnych, nieudanych próbach powstała wreszcie złota rasa, którą bóg ten osiedlił w raju, wyłącznie dla swojej rozrywki. W jakiś niewyjaśniony do końca sposób, Kane sprowokował tych doskonałych ludzi do buntu przeciwko rajskiemu życiu. Zabił nawet starszego brata, gdy ten próbował zapobiec nieszczęściu. Wyzwanie rzucone przez Kane'a i to morderstwo zaowocowało zagładą świetności złotego wieku i rozkładem etyki w całym starożytnym świecie. Bóg rzucił na Kane'a klątwę, klątwę wiecznego wędrowania i wewnętrznego niepokoju. Kane'a miała odtąd prześladować ta sama przemoc, którą zaszczerpił rodzajowi ludzkiemu. Ona właśnie wycisnęła na jego oczach piętno wygnańca i mordercy. Zabić go może tylko siła równa tej, jaką sam stworzył, ale do tej pory nie znalazł się nikt władny zniszczyć Kane'a przy pomocy jego własnego żywiołu. Tyle mówią najstarsze legendy i oczywiście trudno powiedzieć, gdzie w nich leży granica między prawdą, a zmyśleniem. Imię Kane'a pojawiało się jednak i w późniejszych stuleciach. Kilka faktów wydaje się pewnych. Kane żył co najmniej kilkaset lat. Nie był zresztą pierwszym wysłannikiem zła obdarzonym długowiecznością, Przez cały ten czas nie przyniósł światu nic, prócz śmierci i destrukcji. Zniszczenie zdaje się iść za nim jak cień. To on, jest w głównej mierze, autorem tych ruin i przelewu krwi. Uczestniczył w najohydniejszych eksperymentach czarnej magii i nawet czarownicy z Carsulyal wygonili go kiedyś ze wstrętem ze swojej ziemi. Był piratem, bandytą, skrytobójcą. Dopuścił się niezliczonych aktów przemocy. Organizował potężne armie i prowadził je przeciwko spokojnym krajom. Rządził pokoleniami najczarniejszych tyranów. Brał udział w wielu spiskach przeciw prawowitym rządóm. Przez całe stulecia jego imię było symbolem zdrady. To wszystko nie jest zbiorem fantastycznych legend. Ludzie, którzy są tutaj ze mną potwierdzą jego winy. Na własne oczy widzieli skutki obłąkanej działalności Kane'a.

Dla lorda Gaethaa istotne było, aby Gavein i mieszkańcy miasta zrozumieli, że jego misja jest dziełem sprawiedliwości.

– Zapytajcie ich, zapytajcie Jana, czy Mollyla czym jest imię Kane'a dla ich rodaków z Imperium Thovnozyjskiego. Zapytajcie Bella, co uczynił Kane mieszkańcom Gór Myceum. Poproście Seda Dosso, aby opisał wam mordercze ataki Kane'a i jego bandytów na karawany przejeżdżające przez Lorman tuż pod waszymi drzwiami, zaledwie kilka miesięcy temu. Ja powiedziałem wystarczająco wiele, proszę zapytajcie tych ludzi.

Lord Gaethaa rozejrzał się. Wszystkie twarze odwracały się przed jego wzrokiem w trwożliwym zakłopotaniu. W końcu Gavein zaczął mówić, mrugając powiekami jak gdyby oczekiwał, że przybysze rozpląną się nagle w popołudniowym powietrzu. Odpowiedź burmistrza była dla lorda Gaethaa największym szokiem w ciągu całego długiego życia.

– Proszę wybaczyć, ale nie mam ochoty słuchać pańskich opowieści o starych legendach i złych mocach, krzewiących się bujnie na świecie poza naszym krajem. My w Dermonte mamy dość własnego smutku. Mówi pan o śmierci i zniszczeniu, ale my widzieliśmy już śmierć całego naszego państwa i jego obywateli. Nic dla nas nie znaczą zbrodnie Kane'a. Nie dbamy o nic, co dotyczy zewnętrznego świata. Nie interesuje nas to co dzieje się, lub działo gdzie indziej.

Bładość jego twarzy uwypuklały czerwone obwódki wokół ust. Kładąc dłoń na rękojeści miecza, lord Gaethaa wybuchnął.

– Chce pan powiedzieć, że zamierza pan ochraniać Kane'a? Gavein spojrzał na niego z lekkim wyrazem współczucia.

– Nie zrozumiał pan. Nie będziemy się wtrącać do pańskiego sporu z Kane'em. To jest sprawa między panem a nim, więc proszę pójść z tym do niego. Osądźcie razem ten spór według praw, jakie wydają wam się najlepsze. My, w Sebbei żądamy tylko, aby każdy był pozostawiony sam ze swoim smutkiem. Odnośnie pańskiej misji nie pomożemy panu, ani nie przeszkodzimy w żaden sposób. Jeśli chce pan walczyć, proszę bardzo, ale nas niech pan zostawi w spokoju.

Potrząsając ze zdumieniem głową lord Gaethaa zwrócił się do Alidora.

– To jest obsesja – wykrzyknął jak w gorączce. – W całym tym kraju ludzie są tak opętani jedną rzeczą, że wszystko inne stracili z oczu. Nie sądzę, żeby ktoś z nich zrozumiał to, co starałem się im powiedzieć.

– Zgadza się, że nie można im pomóc. W każdym razie nie są dla nas zagrożeniem – zauważył Alidor. – Tym razem Kane zapędził się w kozi róg i może oczekiwać pomocy tylko od siebie. Proszę zapytać tego starego człowieka, gdzie jest willa Kane'a.

– I znowu zabłądzić? – warknął lord Gaethaa. – Mam lepszy pomysł. Niech on zaprowadzi nas osobiście.

Gavein próbował protestować, ale kiedy na skinięcie Krzyżowca podeszli Bell i Sed Dosso, burmistrz wstał i dał się wyprowadzić na ulicę.



## V OSACZYĆ TYGRYSA W JEGO KRYJÓWCE

Rehhaile biegła zrozpaczona, drżąc jeszcze ze strachu i wstrętu, Jej dusza czuła się znieważona spotkaniem z ludźmi lorda Gaethaa. Nigdy jeszcze nie doświadczyła takiego ładunku nienawiści, tylu bestialskich wyobrażeń i pożądań. Umysł Kane'a był jej całkowicie obcy i nawet nie próbowała dosięgnąć głębi jego cierpienia. Ale w myślach bandytów lorda Gaethaa otwarte okrucieństwo mieszało się z jakąś obłąkaną żądzą i umysł Rehhaile wciąż był skażony tym spotkaniem.

Biegła, potykając się z pośpiechu. Aleje Sebbei przedstawiały dla niej skomplikowany wzór z jasnych i ciemnych plam. Gdy tylko było to możliwe, Rehhaile starała się łączyć swój umysł z jakimiś cudzymi oczami. Czasem udawało jej się zespolic z świadomością przechodnia idącego w tym samym kierunku i mogła korzystać przez pewien czas z jego wzroku. Jednak w opustoszałym Sebbei taka okazja zdarzała się rzadko, więc przez większość czasu dziewczyna szukała drogi po omacku. W takich sytuacjach krążyła w poszukiwaniu jakiejś pary oczu, które mogłyby rozświetlić jej drogę. W ten sposób traciła jednak zbyt wiele cennego czasu, więc często brnęła po prostu przez ciemny labirynt ulic, zadowolając się niewyraźnymi cieniami odległych umysłów, albo szła całkiem na ślepo. Znała przecież dobrze Sebbei i wszystkie przeszkody na drodze do domu Kane'a.

Wreszcie dotarła do willi. Dysząc ciężko przebiegła przez ogród. Kane, pogrążony w półśnie, kontemplował popołudniowe słońce, siedząc w cieniu splątanych łądyg winnej latorośli. Obok stał prawie opróżniony dzban wina i miska z truskawkami.

– Witaj, Rehhaile – powiedział i poderwał się na nogi, widząc panikę na jej twarzy. – Co się stało, u diabła? Czy ktoś cię goni?

– Kane – krzyknęła zdławionym z wyczerpania głosem – jesteś w niebezpieczeństwie. Jacyś ludzie szukają cię w Sebbei. Chcą cię zabić. Szukali cię przez kilka tygodni i wiedzą, że jesteś tutaj. Przyjdą, żeby cię zabić, gdy tylko dowiedzą się, gdzie mieszkasz. Mogą być w każdej chwili. Chcą cię zabić.

Kane rozpaczliwie próbował otrzeźwieć.

– Jacyś ludzie szukają mnie w Sebbei – powtórzył gorączkowo. – Ilu ich jest, kim są? Jak są uzbrojeni? Skąd wiesz, że są na dobrym tropie?

Rehhaile zdała mu chaotyczną relację ze swojego spotkania z lordem Gaethaa i jego żołnierzami. Bełkotała o obcych mężczyznach i o ich czarnych pragnieniach przemocy i śmierci. Mówiła urywanymi zdaniami, próbując opisać uczucia niewyrażalne w ludzkim języku. Kane natychmiast zrozumiał niebezpieczeństwo, jakie mu zagrażało. Gorzko przeklinając niewybaczalny brak czujności, w jaki go wpędziła rozpacz, zażądał od niej szczegółów. Pobiegła za nim do willi, patrzyła jak w pośpiechu przypinał miecz i szukał dodatkowych strzał do kuszy.

– Kane, co ty chcesz zrobić? – jęknęła. – Zamierzasz zatrzymać ich przed willą?

Kane zahaczył o coś butem i zatoczył się niebezpiecznie, mamrocząc jakieś przekleństwo.

– Nie wiem jeszcze co zrobić. Dziewięciu najemnych żołnierzy to poważne niebezpieczeństwo w otwartej walce. I muszą być cholernie dobrzy, jeśli dotarli aż do Sebbei, Tloluvin raczy wiedzieć po co. Jeśli będę czekać tutaj, zakorkują mnie, jak niedźwiedzia w jego norze. Mogę uciec, ale jeśli pojedą za mną, z pewnością upolują mnie gdzieś w Dermonte lub na pustyni.

Wprawnymi rękami Kane sprawdzał kuszę. Broń była w idealnym stanie. Poczul satysfakcję: nie dał się więc całkowicie omotać ponurej atmosferze Dermonte.

– Mam największe szansę, jeśli opuszczę willę, ale pozostanę w Sebbei. Mogę ukrywać się w pustych budynkach i nieuchwytny, przejąć inicjatywę w walce. Te przybłedy nie będą pierwszymi myśliwymi, którzy popełnili błąd, chcąc zaskoczyć tygrysa na jego posłaniu.

Ruszył w kierunku bramy, gdy Rehhaile krzyknęła ostrzegawczo.

– Kane, wracaj, oni są już prawie tutaj. Nie zdołasz się ukryć.

– Uciekaj – zawołał i zawróciwszy w miejscu rzucił się z powrotem w stronę willi, klnąc ordynarnie w kilku językach-

Wbiegł na pierwsze piętro i popatrzył przez okno w kierunku wskazanym przez Rehhaile. W zachodzącym słońcu dostrzegł

Długie cienie jeźdźców, stojących nieopodal i wpatrujących się w willę.

– Widzisz ich teraz?

– Tak, widzę – powiedział Kane. – Chyba już wiedzą, gdzie jestem. Czy to Gavein jest tam z nimi?

Co ich zatrzymuje?

Na zewnątrz lord Gaethaa przystanął ze swoimi ludźmi, aby przyjrzeć się willi. Mieli przed sobą stary wewnętrzny mur Sebbei, za nim rozciągały się peryferie z nowszymi zabudowaniami – sklepami, gospodami, rezydencjami bogaczy. Podmiejski teren położony z dala od brudu i hałasu zatłoczonego dawniej miasta otoczony był murem zewnętrznym.

Stara willa kupca Nandai usytuowana była w pewnej odległości od nowszych budynków. Stała nad małym jeziorkiem, które z jednej strony zakreślało pod wewnętrznym murem, a z drugiej wydłużało się w kierunku zewnętrznego. Na zarośniętym trzcinami i krzakami brzegu stało kilka łodzi. Willę otaczał zapuszczony ogród, a dalej – uprawne niegdyś pola. Rosło tam kilka samotnych palm i sosen ale nie było miejsca, w którym można by się ukryć.

– Nie da się podjechać niepostrzeżenie – stwierdził Alidor. Lord Gaethaa skinął głową i zwracając się do Cereba Ak-Cetee zapytał:

– Gavein przysięga, że nie wie o żadnych czarach, które broniłyby dostępu do tej nory. Co o tym sądzisz? Czarownik wpatrywał się w willę.

– Na pierwszy rzut oka nie wydaje się, żebyśmy mieli do czynienia z jakimiś czarami. Myślę, że zastaliśmy Kane'a całkowicie bezbronego.

Mollyl szeptał coś do ucha Janowi, patrząc na Gaveina. Jan zaśmiał się, ostrząc jednocześnie swój hak o skórzane spodnie.

– Teraz, Gavein – powiedział Mollyl szyderczo – teraz widzę, że mówiłeś prawdę. Kane mieszka tutaj sam. Ale Jan twierdzi, że być może ukryłeś jednak coś przed nami. Może Kane trzyma tu ochronę osobistą, albo ma na swoich usługach jakieś czarodziejskie moce. Jesteś pewien Gavein, że powiedziałaś wszystko? Może jednak zmienisz zdanie?

Gavein zbladł, zerkając na hak sterczący z janowego przegubu.

– Milcz, Mollyl – rozkazał lord Gaethaa. – Ja mu wierzę. Ci ludzie są zbyt tchórzliwi, aby kłamać. Zresztą Cereb zapewnia, że Kane nie ma dla nas w zanadrzu żadnej niespodzianki. Mimo to musimy jednak pamiętać, z kim mamy do czynienia. Byli już tacy, których zniszczył, gdy atakowali w przekonaniu, że jest bezbronny. Toteż nie sądzę, że wszedłszy tam zastaniemy go śpiącego smacznie, z głową opartą o opróżniony dzban wina.

Czarownik zeskoczył na ziemię i zaczął odpakowywać dużą liczbę jakichś przedmiotów.

– Za chwilę dowiemy się na pewno, ale stracimy możliwość działania z zaskoczenia.

– Kane nie ma powodu sądzić, że go zaatakujemy – zauważył Alidor.

– No rzeczywiście, nie wyglądamy zbyt podejrzanie – powiedział ironicznie Cereb i schylił się, kontynuując pracę. Jego ruchy były pewne. Smukłe palce pracowały z zawodową rutyną. Cereb od wczesnej młodości był dobrze zapowiadającym się czarownikiem. Szukał kurateli któregoś ze starych mistrzów z Carsulyal. Biorąc udział w kilku wyprawach lorda Gaethaa, zdobył bogactwo i doświadczenie.

Ostrożnie napełnił wodą miedzianą czarę, dodając kilka kropel oleistego płynu, pochodzącego z trzech małych flaszek. Posypał opalizującą powierzchnię cieczy jakimś proszkiem. Przykucnąwszy, zaintonował pieśń. Powierzchnia wody pozostawała zamglona. Nagle ukazał się mały, czerwony ogienek, skaczący w pobliżu środka czary. Ciecz zamigolata przez chwile i eksplodowała tysiącami płomyków. Na moment rozjarzyła się ponuro jakimś światłem, po czym wszystko zgasło.

Cereb wytarł ręce o płaszcz.

– Tak jak powiedziałem, nic – wyjaśnił. – Wszystkie magiczne siły związane z willą odbiłyby się w powierzchni cieczy. Jak widzieliście, jedyną odpowiedzią było to karmazynowe światło. Według mnie, reprezentowało ono samego Kane'a, który – jeśli wierzyć legendom – dysponuje dostateczną mocą, aby wywołać taki elekt. Zastaliśmy więc Kane'a całkowicie bezbronnego. Mówi się o nim, że jest dobrym czarownikiem, lecz o ile wiem, nie zawarł nigdy paktu z żadnym bogiem ani demonem. A to oznacza, że nie może się spodziewać natychmiastowej pomocy ze strony tajemnych sił. Jeżeli czarownik, nawet dobry, nie może wezwać bóstwa, z którym zawarł przymierze, to potrzebuje wiele czasu, wysiłku i środków materialnych, aby rzucić skuteczny czar. Magia nie polega na tanich, szarlatańskich chwytach, wymagających jedynie zręczności palców i odróbiny dymu. Kane zaś nie ma przy sobie żadnych magicznych przedmiotów. Jest cały w pańskich rękach, milordzie.

– Dziękuję, Cereb – uśmiechnął się Lord Gaethaa. Sprawdzimy teraz twoje słowa. Będziemy działać tak, jakby Kane nie wiedział, że go szukamy. Droga do zewnętrznego muru wiedzie obok wejścia do willi. Pojedziemy nią udając, że opuszczamy Sebbei, zajęci własnymi sprawami. Przystaniemy przy wejściu. Kane nie powinien nic podejrzewać, aż do tego momentu. Sforsowanie bramy nie będzie problemem. Mollyl, Jan i Bell pojedą ze mną z przodu, za nimi Sed Missa i Alidor. Anmuspi i Cereb będą pilnować tyłów. Cereb, liczę, że będziesz czujny. Ty, Gavein, możesz odejść.

Burmistrz patrzył za nimi ponuro. Poglądził palcami swą szyję jakby z zadowoleniem, że pozostała nietknięta i podążył z powrotem, mrużąc coś pod nosem.

Lord Gaethaa powoli prowadził swoich ludzi, z rzadka tylko spoglądając na willę. Dron Missa grał z Mollylem w wymyśloną grę w kości, a Jan narzekał głośno, że dwaj mężczyźni oszukali go przy podziale wygranej.

Podjechali bliżej. Wewnątrz nie było widać żadnego ruchu. Wydawało się jednak niemożliwe, aby Kane ich nie obserwował. Czyżby coś podejrzewał?

Nagle dał się słyszeć głośny syk. Beli jęknął i spadł z siodła. Z jego lewego ramienia, przebitego strzałą, popłynęła krew. Przerażony koń stanął dęba. A więc Kane ich oczekiwał! Lord Gaethaa odwrócił się w siodle by wydać rozkaz, kiedy druga strzała rozpruła powietrze w miejscu, z którego właśnie się odsunął. Zaskoczony dokładnością i szybkością strzału, wódz powtórnie zdał sobie sprawę, że nie zdołają się ukryć.

– Wycofać się – ryknął, gdy jego ludzie rozjechali się w pośpiesznym poszukiwaniu schronienia. – Wycofać się z zasięgu strzału, szybko.

Trzecia strzała otarła się o pancerz Alidora. Porucznik zaklął i przylgnął do szyi swojego konia. Na szczęście został uderzony tylko drzewcem i nie doznał szwanku. Dokładny strzał nawet z tej odległości mógł uszkodzić pancerz. Czwarta strzała przemknęła tuż przed Dronem Missą.

Beli trzymał się w siodle aż do chwili, gdy znów znaleźli się pod palmami. Wówczas zsunął się i usiadł pod drzewem, pozwalając Sedowi zbadać ranę.

– Nie jest źle, jeśli jest w stanie tak kląć – powiedział poważnie Missa. – Tylko kilka centymetrów od serca. Dlaczego kazał pan zawrócić, milordzie?

Lord Gaethaa ponuro patrzył na willę.

– Nie chcę stracić jeszcze kilku ludzi. Kane jest dobrym strzelcem, a my nie mamy żadnej osłony.

Zauważyliście, że nie strzela, od razu. Czeka, aż podjedziemy zupełnie blisko. Nie warto teraz ryzykować drugiego podejścia. Zaraz zrobi się ciemno. Podejźmy go, gdy światło będzie za słabe, żeby dobrze wycelować, ale zbyt silne, by Kane zdołał zbiec. Anmuspi, możesz posłać tam płonąca strzałę, która go wykurzy z willi? W otwartym polu dorwiemy go od razu.

Łucznik namyślił się.

– Dach jest drewniany. Mogę podjechać bliżej i zasypać go tyłoma strzałami, iloma pan sobie życzy. To łatwy cel, więc mogę strzelać z bezpiecznej odległości. Żadna kusza nie ma takiego zasięgu, jak ciężki łuk. Oczywiście jeśli nie liczyć tych idiotycznie wyglądających wielkich machin, których naciągnięcie zajmuje silnemu mężczyźnie pięć minut.

– Świetnie, więc wykurzymy go stamtąd ogniem – powiedział lord Gaethaa.

Anmuspi Łucznik ruszył w kierunku willi. Zsiadłszy z konia w pobliżu kępki palm, owinął kilka strzał paskami materiału nasączonego żywicą i skrzesał ogień. Napiął łuk. Pierwsza strzała spadła na dach, druga – niecały metr od niej. Płonęły smętnie, najwyraźniej nie zdolne do podpalenia belek. Trzecia próba zakończyła się podobnie.

– Strzelaj w okno, Anmuspi – krzyknął Alidor. Łucznik skinął głową i namierzył cel. Dwie kolejne strzały wpadły do środka przez otwarte okno, a trzecia utkwiała w ścianie nieopodal. Tym razem ujrzeli kłęby dymu wydobywające się z wnętrza willi. Dron Missa cieszył się głośno.

Anmuspi po raz siódmy napinał łuk, gdy strzała pochodząca z kuszy przebiła mu serce. Ostatni ognisty pocisk pofrunął w niebo, zakreślając świetlisty łuk w zapadającym zmroku.

– Niech to diabli! – krzyknął lord Gaethaa, patrząc na leżące na ziemi ciało łuczniaka. – Zginął wspaniały człowiek. Jeszcze jedna zbrodnia na konto Kane'a.

– Beli będzie żył, ale jest chwilowo niezdolny do walki – stwierdził Alidor. – Zostało nas siedmiu.

– Siedmiu, żeby go wygonić z willi – powiedział z namysłem lord Gaethaa. – Wciąż jest to chyba najlepsza strategia. Gdy zrobi się ciemniej, zaatakujemy. Rozproszymy się i pojedziemy szybko przy słabym świetle. Jeden człowiek nie pokona siedmiu. Kane może zabić jeszcze kilku z nas, ale dostaniemy go i tak.

Cereb Ak-Cetee od kilku minut pocierał w zamyśleniu twarz. Teraz roześmiał się jak uczeń i oświadczył wesoło.

– Być może Kane nie będzie już stawiał oporu, milordzie. Znam zaklęcie, które powinno stępić mu kły i zdążyć je wypowiedzieć, zanim zrobi się zupełnie ciemno.

– Znalazłeś świetny moment, żeby sobie o tym przypomnieć! – wybuchnął Alidor. – Cóż wstrzymywało cię przed powiedzeniem tego wcześniej?

– Pamiętaj, że jesteś porucznikiem, Alidorze i mnie zostaw sprawy magii – warknął Cereb. – W prostych słowach dla prostego umysłu chcę ci powiedzieć, że sztuka czarnoksięska ma swoje prawa i ograniczenia. Jak wiesz, nie zawarłem paktu z żadnym bogiem, bo gdybym to zrobił, nie traciłbym teraz czasu na włączanie się z wami. Nie mając boskiej protekcji muszę posługiwać się czarną magią, a to oznacza przede wszystkim, że potrzebuję czasu i wysiłku, aby wypowiedzieć skuteczne zaklęcie. Fakt, że nie posiadam żadnego włosa, paznokcia, żadnego kawałka ciała Kane'a ani przedmiotu jego osobistego użytku uniemożliwia zastosowanie większości zaklęć. Nigdy nawet go nie widziałem i możemy tylko żywić nadzieję, że to właśnie on znajduje się w willi. Dodaj do tego fakt, że Kane sam jest czarownikiem i może zablokować większość moich wysiłków swoją własną mocą. Powiedz teraz, co mi pozostaje?

– W porządku, przepraszam – ustąpił Alidor. – Więc co miałeś na myśli? W oczach Cereba Ak-Cetee ukazał się szydery blysk.

– Znam proste zaklęcie, powodujące paraliż. Mogę zdekodować jego działanie tak, aby objęło wszystkich znajdujących się w willi, osłabi to jednak poważnie jego moc i Kane może zneutralizować je zupełnie. Jest on prawdopodobnie w stanie siłą woli oprzeć się efektom zaklęcia. Niezależnie jednak od tego, czy tak się stanie, czy nie, czar będzie stopniowo niszczył jego siły, chociaż nie unieruchomi go całkowicie. Nie mówiłem o tym wcześniej bo sądziłem, że jego wiedza jest zbyt wielka, aby zaklęcie miało nad nim władzę. Teraz nie jestem już tego pewien. Wątpię, czy przedsięwziął jakiegokolwiek środki obrony. W każdym razie mogę spróbować. Jeśli to nie pomoże, to nie stanie się w każdym razie nic gorszego.

– Wypowiedz zaklęcie, Cereb – rozkazał lord Gaethaa. – Jeśli zdołasz unieruchomić choćby tę kuszę, to Kane trafi prosto w moje ręce.

Kane patrzył w kierunku miejsca, gdzie ukryli się napastnicy. Zapadające ciemności utrudniały mu widzenie w daleko mniejszym stopniu, niż normalnemu człowiekowi.

– Zdaje się, że zrezygnowali z pomysłu z płonącymi strzałami. Chyba chcą teraz zaatakować wspólnie. Dobrze, że udało się ugasić pożar.

Delikatnie gładził swoją kuszę. Wykonano ją według jego własnego pomysłu i Kane wysoko ją cenił.

– To dobra broń, choć wątpię, czy wielu potrafiłoby się nią posługiwać. Zbyt wiele czasu zabiera naciągnięcie jej i wycelowanie, chociaż ostatni strzał jeszcze raz dowiódł jej wartości. Gdybym miał łuk tego zabitego, wystrzelałbym ich wszystkich, zanim zdążyliby przejść przez tę polanę.

Zwrócił się do Rehhaile.

– Co robią teraz?

Jej twarz była pobrudzona sadzą – Rehhaile pomagała Kane'owi gasić pożar. Ostrożnie połączyła swój umysł z napastnikami. Unikając kontaktu z tymi, których myśli tak ją przerażyły, zespoliła się z Alidorem. Z tej odległości była w stanie odebrać jedynie mglisty obraz impulsów, jakie przebiegały w jego mózgu.

– Trudno coś powiedzieć, Kane. Ten, którego trafiłeś na początku, żyje. Zdaje się, że nie są gotowi do ataku. Kilku patrzy w naszym kierunku, a inni – na kogoś, kto robi coś... nie potrafię powiedzieć co. Kane... to jest ten, którego najbardziej się boję... Ten, który wie, że jestem ślepa. Wydaje mi się, że jest czarownikiem. Nigdy więcej nie chcę dotknąć jego myśli.

– Czarownik. Jak gdyby atak bandy najemników to było jeszcze mało – złościł się Kane. – Słyszałem o pewnym szaleńcu imieniem Gaethaa, który trzyma w swoim oddziale czarownika. Może to właśnie Gaethaa zadał sobie tyle trudu, żeby mnie wytropić. Jest, jak słyszałem, wystarczającym fanatykiem, aby zrobić coś takiego. Chociaż on zazwyczaj prowadzi ze sobą niewielką armię,

Z niepokojem spojrział na ciemniejące niebo.

– Nie będą czekać, aż zrobi się całkiem ciemno. Ruszą, gdy tylko brak światła uniemożliwi mi wystrzelanie ich w otwartej przestrzeni. Bez problemu przejdą przez ogród. Spróbuję wybić ich pojedynczo w sieni. Nie, na pewno spodziewają się tego i otoczą mnie z dwóch stron jednocześnie. Do diabła, chciałbym wiedzieć, co potrafi ten czarownik. Rehhaile, możesz spróbować wejść w jego umysł na tak długo, aby...

Rehhaile krzyknęła w panice.

– Kane, coś niedobrze! Tracę przytomność. Kane, czuję, że... – jej przerażony głos zamilkł, dziewczyna wyciągnęła ręce usiłując się czegoś przytrzymać i po chwili z głuchym łoskotem zwała się na podłogę. Jej ciało przebiegł dreszcz, jakby chciała się jeszcze podnieść, ale rysy twarzy zastygły już w wyrazie panicznego lęku.

Kane walczył, aby utrzymać się na nogach. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, a mięśnie stały

się ciężkie jak z ołowiu. Z przerażeniem uświadomił sobie, że jest to wpływ zaklęcia, przeciwko któremu nie potrafił się obronić. Istniało wprawdzie kontrzaklęcie, znane nawet trzeciorzędnemu czarownikowi, ale on nie miał już czasu, aby je wypowiedzieć. Bronił się desperacko. Ociekając potem, próbował rozruszać skamieniałe mięśnie. Jedynym ratunkiem było wyjście poza zasięg działania czarów. Chwiejnym krokiem podszedł do schodów, całą siłą woli przeciwstawiając się niemocy. Na pierwszym stopniu stracił równowagę i jak pijany, sturlał się aż na parter. Z ustami półotwartymi w trupim uśmiechu, przetoczył się do tylnych drzwi. Słyszał już tętent końskich kopyt. Przepisnąwszy się przez drzwi zamknął je kopnięciem. Jezioro było jedyną szansą ucieczki lub śmiertelną pułapką, jeżeli nie zdoła utrzymać się na wodzie. Na przemian tocząc się i czołgając na brzuchu zmierzał w stronę brzegu. Głosy jeźdźców przybliżyły się, lecz uciekinier nie widział, czy dostrzeżono go w ciemnościach. W końcu dopełznął do jeziora. Słyszał teraz, jak napastnicy forsują frontową bramę. Zostało tylko kilka metrów. Kane stoczył się po pochyłości brzegu. Przez chwilę czołgał się w mule, próbując dotrzeć do głębszego miejsca. Oplotła go zimna masa wody, ciężki miecz ścigał w dół. Z trudem łapiąc oddech, odepchnął się od brzegu. Miał nadzieję, że na głębszej wodzie uda mu się popłynąć. Był dobrym pływakiem, ale ciężar jego ciała utrudniał swobodne poruszanie się nawet w bardziej sprzyjających warunkach. Z najwyższym wysiłkiem uniósł głowę, aby zaczerpnąć powietrza. Stwierdził z ulgą, że jest już dość daleko od brzegu, a napastnicy zajęci są na razie przeszukiwaniem willi.

Działanie czaru zdawało się słabnąć. Z każdym kolejnym ruchem ramion szło mu łatwiej. Ciemne plamy przed oczami nie przesłaniały już pola widzenia. Woda i odległość osłabiły siłę zaklęcia. Prawdopodobnie czarownik zdjął czar z willi teraz, gdy jego towarzysze byli w środku. Jakkolwiek było, Kane czuł, że wracają mu siły. Odgarnął wodę sprawnymi uderzeniami, płynąc tuż pod powierzchnią ciemnego jeziora. Z tyłu za nim jego prześladowcy z rosnącą złością przetrząsali willę i ogród. Kiedy zorientują się, któredy uciekł ich niedoszły jeniec, będzie już za późno na pogoń.

## VI MIECZ ZIMNEGO ŚWIATŁA

Lord Gaethaa wpadł w furję, gdy stało się jasne, że Kane uciekł. W willi znaleźli jedynie Rehhaile wciąż jeszcze uśpioną. Przeszukując ogród, trafili na ślady człowieka, czołgającego się w kierunku jeziora. Krzyżowiec rozkazał swoim ludziom objechać jezioro dookoła. Teraz jednak zupełne ciemności nie pozwalały niczego dostrzec w gęstych zaroślach. Kane zniknął bez śladu.

Ze wstrętnym uczuciem niespełnienia powrócili do karczmy Jethranna. Rehhaile związali i zabrali ze sobą, gdyż lord Gaethaa miał nadzieję wydobyć z niej jakieś ważne informacje.

– Może utonął – powiedział Dron Missa. – Jeśli zakłęcie Cereba było tak skuteczne, Kane nie był w stanie płynąć. Ale wtedy nie mogłoby także doczołgać się do jeziora.

– Nie będziemy robić o to zakładów – Mściciel zmarszczył brwi i nerwowo szarpał koniuszki wąsów. – Missa, do diabła, przestań nudzić, muszę się skupić.

Dron Missa umilkł. Położył na stole swój krótki miecz i zaczął nerwowo bębnić w blat.

– Co teraz? – zapytał Jan.

– Dobre pytanie – odpowiedział ironicznie lord Gaethaa – nie możemy zrobić niczego do rana, a wtedy Kane będzie już wiele mil stąd. Nie ma sposobu, żeby go zatrzymać. Możemy tylko opatrywać ranę Bella i próbować wytropić Kane'a po śladach, gdy zrobi się jaśniej. Co z tą dziewczyną? – zapytał Ali-dora, który usiadł obok niego.

– Jakaś zwariowana historia, ale wszyscy mówią mniej więcej to samo. Nazywa się Rehhaile i jest tą, o której Gavein powiedział, że spędzała dużo czasu z Kane'em. Była chyba jego kochanką, chociaż podobno idzie z każdym, kto tego chce. Mieszka w Sebbei od urodzenia, rodzinę straciła podczas zarazy. Zafascynował ją Kane, więc przez większość czasu mieszkała u niego. Ludzie uważają ją za czarownicę. Mówią, że jest ślepa od urodzenia, ale obdarzona jest jakimś drugim wzrokiem. Mówi się, że potrafi przeniknąć czyjś umysł i patrzeć czyimiś oczami. Podobno umie czytać w myślach. Wypróbowałem ją i zdaje się, że to prawda.

Lord Gaethaa pokiwał głową.

– Czarownica z nadprzyrodzonymi zdolnościami. Cereb mówił mi o tym, on pierwszy ją zauważył. Dobre towarzystwo dla Kane'a. Oczywiście wyczuła nasze zamiary, kiedy spotkaliśmy ją na ulicy i uciekła, żeby ostrzec swego kochanka. Przeklęty pech.

– Co z nią zrobimy? – spytał Jan.

– Jutro zdecyduję. Ona może się nam jeszcze przydać, więc póki co ją zatrzymamy. Poza tym jako współniczka tego diabła zasługuje na śmierć.

– Więc chyba możemy się z nią trochę zabawić – mruknął Mollyl.

– Przez nią straciliśmy Kane'a – powiedział zimno lord Gaethaa. – Ale nie bądźcie zbyt brutalni, będę jej później potrzebował. Zdaje się, że nie wie niczego ważnego, ale nigdy nie wiadomo.

– Nawet jeśli musi umrzeć, to czy wolno nam ją tak po prostu zgwałcić? – sprzeciwił się Alidor. – Zadawać jej bezcelowe tortury?

– Przecież to jej zawód, Alidorze – zaśmiał się Dron Missa.

Gdy wszyscy wyszli, Alidor został na swoim miejscu obok lorda Gaethaa. Wino stało przed nim nietknięte. Jego dolna warga lekko drżała, jak gdyby na usta cisnęły mu się jakieś słowa, które wolał przemilczeć. Lord Gaethaa zauważył zły nastrój porucznika. Wysoko sobie cenił współpracę Alidora. Spodobała mu się jego młodzieńcza odwaga i inteligencja, gdy poznali się przed prawie dwoma laty. Alidor nie miał jeszcze wtedy dwudziestu lat i dużo starszy Gaethaa traktował go jak młodszego brata. Wiedział, że zawsze może liczyć na młodego porucznika i często zasięgał jego rady w sprawach strategii. Lord Gaethaa wiedział, że podczas gdy większość żołnierzy uczestniczyła w

jego misjach dla złota, przygody, zemsty czy innych osobistych powodów, Alidor hołdował tym samym, co jego dowódca ideałom.

– Alidor – powiedział cicho Krzyżowiec. – Co jest? Coś cię gryzie od dobrej chwili. Widzę, jak to w tobie narasta. Wiesz, że jeśli coś ci się nie podoba, nie musisz tego przede mną ukrywać. Wyrzuć to z siebie.

Alidor przygryzł wargę i podniósł kubek z winem, unikając wzroku lorda Gaethaa.

– Nic ważnego... to dziwne – zaczął z wysiłkiem – jakby coś wzbierało we mnie coraz bardziej. Nie wiem, może jestem zmęczony po tych wszystkich kampaniach. Nic określonego, ale...

Lord Gaethaa patrzył na niego niespokojnie wiedząc, że za chwilę porucznik powie wszystko. Skrytość nie leżała w jego charakterze.

– Chodzi o tę dziewczynę, Rehhaile...

– Rehhaile? – zdziwił się lord Gaethaa. – Co cię niepokoi w związku z tą czarownicą?

– To nie chodzi tylko o nią, myślę o wielu rzeczach. Ona jest tylko przykładem. Bunt, jaki mieliśmy na granicy Dermonte, egzekucja więźniów Purpurowej Trójki. Sposób, w jaki w zeszłym roku zajęliśmy miasto Burwhet, ci ludzie, których pozwoliłeś Mollyłowi torturować, aby powiedzieli o planowanym ataku. Zakładnicy, których wymordował, kiedy...

– Alternatywą było wycofać się i pozwolić tym zbrodniarzom odzyskać kontrolę nad szlakami handlowymi. Musiałem wiedzieć, kiedy i gdzie uderzyć podczas pierwszej bitwy. Życie tych kilku przestępców i zakładników nie było ważne wobec większego dobra, jakim było umożliwienie tysiącom ludzi bezpiecznej podróży przez te tereny. Burwhet mogło zostać odbudowane i rozwijać się po tym, jak zmietliśmy tych bandytów z powierzchni ziemi. To nie na więźniach wykonaliśmy egzekucję, lecz na wspólnikach Czerwonej Trójki, splamionych potwornymi zbrodniami. Jeśli chodzi o tych, którzy zdradzili mnie na granicy Dermonte, to przecież każdy, kto kiedykolwiek nosił miecz, wie, że dezercja karana jest śmiercią. Inaczej nie sposób byłoby utrzymać dyscypliny. To wszystko już za nami, Alidorze. Ta czarownica, Rehhaile – mógłbym przymknąć oczy na jej stosunki z Kane'em. Ostatecznie jest młoda i niedoświadczona. Ale ona ostrzegła go o naszym istnieniu i za tę zbrodnię musi zapłacić. Jeśli wzięlibyśmy Kane'a całkowicie zaskoczenia, a tak by pewnie było, nasza misja byłaby wypełniona, a Anmuspi żyłby. Chociaż głupotą jest myśleć, że można zgładzić Kane'a bez żadnych przygód. Głupotą jest zastanawiać się, co mogło się zdarzyć.

Z góry dobiegł ich bolesny kobiecy jęk w akompaniamencie wybuchów śmiechu. Alidor zadrżał.

– Dlaczego nie dać jej umrzeć w czystości, po co ją torturować?

– Ona jest nierządnicą, sam to powiedziałeś – lord Gaethaa wzruszył ramionami. – Nie dzieje się jej nic, co nie byłoby naturalne dla kobiety. Poza tym ci mężczyźni potrzebują rozrywki, przebyli ciężką drogę. Dajmy im się zabawić.

Alidor wciąż był markotny.

– To brzmi logicznie. Nie twierdzę, że kiedykolwiek posunęliśmy się do stosowania niehumanitarnej przemocy. Nie wiem, może mięknie mi kręgosłup. Wydaje mi się, że trzeba by zrobić trochę miejsca dla miłosierdzia.

Odgarniając włosy z wysokiego czoła, lord Gaethaa odetchnął głęboko i poprawił się na krześle. Popatrzył gorzko na Alidora.

– Oczywiście, miłosierdzie. Pamiętasz jak kiedyś Reanist namawiał mnie, abym oszczędził tę dziewczynę, którą znaleźliśmy skutą w zaczarowanej wieży? Miejscowi protestowali, ale Reanist miał na nią oko, nalegał, twierdził, że ona jest tylko więźniem. Tej nocy jej pocałunki uśmierciły Reanista i pięciu innych dobrych żołnierzy, zanim mój miecz nie pozbawił jej życia. Nawet Cereb nie był pewny, z jakim rodzajem demona mieliśmy wtedy do czynienia. Albo wcześniej, gdy



oszczędziliśmy członków rodziny Tirliego Selana i gdy się później okazało, że są gorszymi tyranami, niż ich wuj. Alidorze, to nie jest tak, jak myślisz. Zbyt wielu ludziom pozwoliłem umrzeć od zatrutej krwi, wciąż prosząc chirurga, aby nie usuwał w całości źródła zakażenia. Trucizna rozprzestrzenia się. Nawet mały nowotwór urośnie i zniszczy najsilniejszy organizm. Jeśli najmniejsze zło ostanie się twoim egzorcyzmem, to spowoduje w przyszłości więcej jeszcze cierpienia niż uprzednio. W walce przeciw siłom zła, fałszywe miłosierdzie gorsze jest niż zły doradca. Jego konsekwencje mogą całkowicie zaprzepaścić idee, którymi się kieruje.

Lord Gaethaa pobladał z emocji, oczy płonęły, krople potu wystąpiły mu na czoło. Mówił drżącym ze wzruszenia głosem.

– Nazywają mnie Krzyżowcem i ufam, że wart jestem tego imienia. Celem mego życia uczyniłem krucjatę przeciwko złu, krucjatę, która będzie trwała, póki nie zgaśnie we mnie ostatnia iskra. Jako dziecko słyszałem legendy, opowiadane przez żołnierzy mojego ojca. Słuchałem też czarnych opowieści o obcych krajach, sterroryzowanych przez siły zła. Przysiągłem sobie wtedy, że gdy dorosnę, nie będę marnował życia wśród uperfumowanych pasożytów ze szlacheckimi tytułami. Odwróciłem się od ospałego, dworskiego bytowania i wybrałem jazdę pod wiatr, z bojowym zawołaniem na ustach i mieczem w ręku. Od dzieciństwa przygotowywałem się do takiego życia. Najlepsi tacy uczyli mnie sztuki prowadzenia bitew. Walkę wręcz trenowałem u najlepszych jej mistrzów. Nauczyłem się mówić i pisać w dwunastu językach. Najwięksi geniusze naszych czasów wykładali mi logikę i filozofię bo wiedziałem, że wprawdzie ręka trzyma miecz, ale to rozum kieruje jej ruchami, i że żaden sługa nie zastąpi moich własnych uszu i języka. Alidorze, dostrzegłem zimne światło dobra, rozsiewane przez prawdę, praworządność i sprawiedliwość. Zimne światło, które rozprasza ciemności zła. Wszechświat opiera się na tych dwóch filarach: potędzie dobra, świecącej czystym blaskiem, jak latarnia morska, i dusznych ciemnościach zła. W chłodnej potędzie dobra zniknie cień. Poprzysiągłem służyć temu chłodnemu światłu. Ślubowałem rozpruć ciemności mieczem jego szlachetnego blasku. W tej walce nie ma miejsca na półcień. Ci, którzy nie podążają za zimnym światłem, są dziećmi mroku i muszą być i będą zniszczeni. I jeśli czasem moja krucjata wydaje ci się być pozbawiona miłosierdzia, to jest tak dlatego, że w tej walce nie może być niezdecydowania. Chłodne światło rozproszy wszystkie ciemności, nawet jeżeli będzie to kosztowało życie tysięcy ludzi. Ich cierpienie jest mało znaczącą ceną ostatecznego zwycięstwa.

Alidor słuchał, porwany siłą tej przemowy, niepewny, czy służy świętemu, czy szaleńcowi. Lord Gaethaa milczał przez kilka minut, aż Alidor wyrwał go z transu.

– Przykro mi, milordzie, że okazałem się niegodny zaufania, jakie pan we mnie pokładał.

Lord Gaethaa wstał z łagodnym uśmiechem.

– Dlaczego przepraszasz? Twoje wątpliwości są zrozumiałe, a miłosierdzie jest bezcenną zasadą wtedy, gdy jest pożądane. Twoje uczucia są na niewłaściwym miejscu, to wszystko. Mam nadzieję, że zrobiłem coś, aby usunąć twoją rozterkę. Musisz pamiętać, że jesteśmy jedynie nieskończenie małym oddziałem w kosmicznej walce między sprzecznymi siłami. Miętkość serca nie jest tu miłosierdziem, lecz niewybaczalną głupotą. No, zrobiło się późno, a musimy ruszyć o świcie. Idę przespać się trochę i tobie radzę to samo. Jesteś wyczerpany, rano wiele spraw ci się wyjaśni.

Alidor odprowadził swego pana wzrokiem. Rozumiał teraz wszystko lepiej. Nie był śpiący. Wciąż odczuwał dziwny niepokój, przeżuwał swoje myśli, wolno popijając wino. Sen nie przychodził być może dlatego, że ilekroć próbował zamknąć oczy, wyraźniej słyszał płacz dochodzący z pokoju na górze. Gdy inni już dawno zaspokoiли swoje pożądanie, Alidor także poszedł do Rehhaile.

Był już prawie świt, gdy zaczął zakładać koszulę i spodnie. Rehhaile nie spała, leżała odwrócona w jego stronę. Jej niezwykle, niewidzące oczy były czerwone od łez. Purpurowe sińce pokrywały w

wielu miejscach jej smagłą skórę. Na plecach widniały czerwone pręgi po uderzeniach bata. Alidor pomyślał, że w porównaniu z innymi kobietami, z którymi Mollyl się zabawiał, ta była prawie nienaruszona. Wyglądała na bardzo nieszczęśliwą i Alidor miał wyrzuty sumienia.

Nie sprawiała wcale wrażenia nierządniczy. Nie była twarda, nie miała zawodowej rutyny. Porucznika naszła dziwna myśl, że zgwałcił jedyną osobę, która go kochała. Nie mógł pozbyć się wstrętnego uczucia zdrady.

Rehhaile przeciągnęła językiem po nabrzmiąłych wargach. Wiedziała o jego poczuciu winy.

– Nie smuć się, byłeś przynajmniej bardziej uprzejmy niż tamci. Alidor mruknął coś i zaproponował jej kubek wina.

– Co stanie się ze mną? – zapytała.

Nagle zrobiło mu się niewygodnie. Odpowiedział niezobowiązująco, że lord Gaethaa jeszcze nie zdecydował. Ostrożnie usiadła i dotknęła posiniaczonego brzucha.

– Dlaczego to zrobiłeś? – jęknęła.

Alidor spojrzał w inną stronę. Mógł jej powiedzieć, że nie zasługiwała na nic lepszego, bo sprzymierzyła się z diabłem, ale takie słowa wydały mu się jakieś nierzeczywiste.

– Zrobiłaś głupstwo, pomagając Kane'owi w ucieczce. Sprzeciwiłaś się w ten sposób sprawiedliwości, a za to trzeba ponieść karę.

– Czy gwałt na mnie był aktem sprawiedliwości? Myślisz, że zasługiwałam na to, co mi zrobiliście?

Alidor szukał w głowie odpowiedzi, gdy jakiś krzyk dobiegł od strony stajni.

## VII RANIONY TYGRYS

Kane nie opuścił Sebbei. Odzyskując siły, przepłynął jezioro i ukrył się wśród wysokich trzciny, gdy ludzie lorda Gaethaa brodzili w wodzie, prowadząc bezowocne poszukiwania. Kane widział z ukrycia jak napastnicy wracają do Sebbei. Bezszelestnie pobiegł za nimi do karczmy Jethranna. Szedł jak zjawa, a w jego oczach odbijała się śmierć. Nie zamierzał uciec od swoich prześladowców. Ośmieszili go. Był tak pogrążony w apatii, że prawie im się to udało. Teraz jednak krew się w nim zagotowała.

Przyczajony w ciemności, na zewnątrz karczmy, Kane pilnie patrzył i nasłuchiwał, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej o napastnikach. Rozpoznał tylko Seda Dosso. W pewnej chwili usłyszał nazwisko Gaethaa. Wtedy zrozumiał przyczynę napaści.

Gaethaa Mściciel – a więc postanowił w końcu włączyć Kane'a w poczet ofiar swej krucjaty. Kane usiłował przypomnieć sobie wszystkie, zasłyszane niegdyś informacje o tym człowieku. Widoki nie były zachęcające. Gaethaa był niebezpiecznym przeciwnikiem, człowiekiem o ogromnej odwadze, dobrym żołnierzem i błyskotliwym strategiem. Miał jedną z najlepszych prywatnych armii w całym cywilizowanym świecie.

Ośmiu ludzi, zawodowców, plus czarownik. Ten ostatni był chyba owym młodym Tranodelczykiem, o którym Kane trochę słyszał, członkiem klanu Cetee, jednym z najzdolniejszych – po upadku Carsultyalu – adeptów czarnej magii. Siły zbyt przeważające, aby zaatakować bezpośrednio. Należało działać w bardziej subtelny sposób.

Kane czekał na okazję. Do jego uszu dobiegały krzyki gwałconej Rehhaile. Przed świtem ukrył się w stajni. Chciał zaatakować ludzi lorda Gaethaa podczas snu, lecz kilku z nich w ogóle się nie położyło. Poniechawszy więc tego zamiaru, Kane wspiał się na ciemne poddasze i czekał na rozwój wypadków. Najwyraźniej Krzyżowiec wierząc we własne siły, sądził, że Kane wciąż ucieka. Ukryty w cieniu zbieg czuł się w miarę bezpieczny. Noc była zimna, a Kane jeszcze mokry i oblepiony błotem po przymusowej kąpieli w jeziorze. Zawinał się w derki i zakopał w sianie. Wprawdzie w derkach roilo się od pcheł, ale przynajmniej były ciepłe.

Tuż przed świtem jego czujność została nagrodzona. Jakiś człowiek potykając się wszedł do stajni. Kane rozpoznał Seda Dosso. Rabuś nie spał przez większą część nocy i teraz przeklinał lorda Gaethaa za to, że kazał mu doglądać koni. Chwiejnym krokiem przechodził od jednego do drugiego, sprawdzając, czy każdy ma dość ziarna i wody. Skończywszy obchód, Sed postawił latarnię na beczce i zaczął ponuro wgapić się w stertę siodeł i uprzęży. Zdecydował, że jest dość czasu, żeby się jeszcze zdrzemnąć. Z westchnieniem ułożył się na podłodze i zamknął oczy. Kane uważnie obserwował przywódcę lormańskich bandytów. Miał doskonałą okazję, aby pozbyć się jednego ze swych wrogów, lecz wyłaniało się tu kilka problemów. Kane miał przy sobie miecz i sztylet, ale były one w tej chwili bezużyteczne. Aby dosięgnąć Seda, musiał zejść po drabinie, co narobiłoby hałasu. Pozycja, w jakiej ułożył się bandyta, czyniła go trudnym celem, jeśli Kane chciałby rzucić sztyletem. Nie było możliwości, żeby zabić go szybko i cicho, a po pierwszym krzyku Seda ludzie lorda Gaethaa natychmiast otoczyliby stodołę.

Kane powoli uwolnił się z derek. W kącie leżał zwinięty sznur. To była jakaś szansa. Ostrożnie przeczołgał się przez poddasze, bacznie obserwując uśpionego Seda. Grube deski nawet nie zaskrzypiały, spomiędzy belek posypało się tylko trochę piachu i słomy. Kane obawiał się, że może to obudzić Seda.

Człowiek pustym lekko chrapał. Kane podniósł się z podłogi i sięgnął po sznur. Na dworze zaczęło szarzeć, ale na poddaszu było jeszcze całkiem ciemno. Ludzie lorda Gaethaa mogli nadejść w

każdej chwili. Kane czuł, że czas ucieka. Sprawnie zawiązał jeden koniec sznura w ruchomą pętlę, robiąc w ten sposób całkiem niezłe, konopne lasso. Stał pewnie na krańcu poddasza, patrząc na uśpionego bandytę. Przygotowywał się do rzutu.

– Sed. Sed Dosso! – zawołał przyciszonym głosem. – Wstawaj!

Lormańczyk drgnął, na wpół przez sen uniósł głowę i rozejrzył się niepewnie.

– Co jest?

Kane rzucił lasso. Dokładnie wycelowana pętla spadła na głowę Seda i zacisnęła się na jego szyi. Sed zdążył wydobyć z siebie cienki pisk, a potem sznur zdławił mu oddech. Rozpaczliwie próbował się uwolnić, ale gwałtowne szarpnięcie podciągnęło go do góry. Kane zaklął. Mięśnie jego ramion i pleców uwypukliły się jeszcze bardziej, gdy podnosił zawieszonoego na sznurze bandytę. Szybko przerzucił sznur przez belkę i trzymając za wolny koniec, zeskoczył na podłogę. Sed gwałtownie podjechał do góry. Swój koniec Kane przywiązał na dole. Wszystko to zajęło zaledwie kilka sekund. Sed patrzył wytrzeszczonymi oczami na swojego przeciwnika, który zaśmiał się, pomachał mu ręką na pożegnanie i zniknął za tylnymi drzwiami.

Kilka minut później lord Gaethaa wszedł ze swoimi ludźmi do stajni. Rozejrzeli się zdezorientowani, aż Jan wskazał na górę. Szybko opuścili Seda na ziemię. Lormańczyk miał złamany kark. Zanim umarł, zdążyli z układu jego ust odczytać imię Kane^.

– Kane! – krzyknął lord Gaethaa. – Byłem głupcem sądząc, że uciekł. Jak raniony tygrys wrócił, aby zapolować na myśliwych. Przeliczył się tym razem, bo nie musimy już tropić jego śladów. Wpadł w pułapkę. Cereb, czy możesz go odszukać?

Czarownik wzruszył ramionami.

– Zobaczymy – odpowiedział leniwie.

Niedługo później Kane zbytnio się nie zdziwił widząc, jak mury Sebbei zapalają się błękitnym płomieniem. Z dachu jakiegoś pustego domu obserwował wybuch ognia. Nie było żadnej widocznej przyczyny pożaru, a ogarnięte płomieniami mury pozostawały nienaruszone. Kane rozpoznał działanie czarów i uśmiechnął się dziko. Tak, to potężne czary i on nie jest w stanie nic zrobić, ale także nie miał zamiaru uciekać, dopóki gra się nie skończy.

Trzeba było coś zrobić z tym czarownikiem, Kane usiłował sobie przypomnieć jakąś magiczną sztuczkę, którą mógłby się zrewanżować. W końcu, sfrustrowany, zdał sobie sprawę, że jego przeciwnik potrafi się obronić przed każdym zaklęciem dostępnym w obecnej sytuacji. Lord Gaethaa ochroni swojego pupila również przed zagrożeniami fizycznymi. Kane pożałował utraconej kuszy. Jak dotychczas, jedyną bronią jaką znalazł w opuszczonych domach, była ciężka włócznia, przystosowana do walki wręcz i krótkich rzutów. Zrezygnowany, zszedł na dół, aby sprawdzić, dlaczego wrogowie jeszcze nie atakują.

Na placu przed karczmą lord Gaethaa z towarzyszami patrzyli zafascynowani, jak Cereb Ak-Cetee wymawiał długie zaklęcie nad skomplikowanym pentagramem. Nagle powietrze zafalowało i wśród dymu kadzideł pojawił się, pokryty kolorowymi łuskami, demon. Poraniona twarz Cereba rozjaśniła się w chłopięcym uśmiechu. Uwięziony w pentagramie demon spojrzał gniewnie do tyłu i kłapnął zębami, wypuszczając kłęby dymu.

Nagle garbata poczwara gwałtownie wyciągnęła łapy, usiłując zaatakować czarownika pazurami. Nie udało jej się jednak przebić magicznej bariery – posypało się tylko kilka iskieł. Cereb Ak-Cetee zachichotał, słysząc ryk bóleści.

– Próbuj, niewolniku, ile chcesz. Ten pentagram będzie cię trzymał, dopóki cię łaskawie nie uwolnię, a nie zrobię tego, aż nie przysięgniesz, że będziesz mi służył.

– Wezwałeś niewłaściwego sługę – odpowiedział demon chrapliwym głosem. – Ja dysponuję

bardzo niewielką mocą. Uwolnij mnie i wezwij potężniejszego, który zrobi to, co każesz.

– Nie bądź taki skromny! Nie, nie wezwę żadnego z twoich braci. Większa ryba może okazać się zbyt silna jak na moją sieć. Ale ty doskonale nadajesz się do tego, czego żądam. Ukrył się gdzieś tu przed nami pewien człowiek – rozkazuję ci przyprowadzić go. Jest uwięziony, otoczyłem miasto kręgiem ognia. Moje zaklęcie pozwoli ci poruszać się po mieście, mimo różnic między twoim a naszym środowiskiem. Masz go odnaleźć, to wszystko. Aby ci pomóc, postaraliśmy się o ten...

– Patrzcie! – krzyknął Jan. – Tam jest Kane. Atakuje! Wszyscy odwrócili się gwałtownie – Kane celował w nich włócznią.

– Ukryj się, Cereb – rozkazał lord Gaethaa – mamy... Kane cisnął włócznią. Niezdarny pocisk chwiejnym lotem zatoczył łuk nad placem. Kane nie celował w czarownika, ani w nikogo z ludzi. Przy tej odległości wysiłek byłby daremny. Rzucił w pentagram. Ostrze uderzyło w twardą ziemię. Włócznia roztrzaskała się, przerywając magiczny krąg. Demon wybuchnął nieludzkim śmiechem. Cereb jęknął w zwierzęcym strachu, gdy potwór zamknął go w swoim ohydny uścisku.

– No i kto teraz będzie rozkazywał swojemu niewolnikowi? – zaryczał triumfalnie.

Z piekielnym hałasem otworzyły się kosmiczne wrota, i po chwili zatrasnęły się z hukiem, ucinając krzyk przerażenia i szyderczy śmiech. I tylko opary siarkowego dymu wskazywały miejsce, gdzie przed chwilą stali demon i czarownik.

Gdy obecni otrząsnęli się z pierwszego szoku, nie było też śladu po Kanie.

## VIII ZGŁADZIĆ SŁUGĘ ZŁA

Zostało ich sześciu.

– Bariera ognia upadła, milordzie – powiedział Alidor – czary przestały działać wraz ze śmiercią mistrza. Lord Gaethaa w zamyśleniu drapał się w brodę.

– Nieważne – powiedział. – Jest oczywiste, że Kane chce zakończyć całą sprawę tu, w mieście. Teraz widać, że dorasta do poziomu legend, które o nim opowiadają. Najgroźniejszy i najsprytniejszy agent zła, spośród wszystkich, których postanowiłem pokonać.

Na jego twarzy odmalowała się ponura satysfakcja. Krzyżowiec wszedł do karczmy. Jeźdźcy z ulgą podążyli za nim. Dron Missa przetrząsał wszystkie kąty w poszukiwaniu nietkniętej jeszcze poprzedniego wieczoru butelki wina. Głośnym okrzykiem zadowolenia obwieścił sukces.

– Pytanie, jak mamy go znaleźć w całej tej gmatwaninie – kontynuował lord Gaethaa. – Do diabła, przestańcie się klócić nad tym winem! Dajcie mi pomysłu! Jan, powiedz temu tchórzliwemu gospodarzowi, żeby przyniósł jeszcze parę butelek. Po tym, co widzieliśmy, wino dobrze nam zrobi.

Ściągnął brwi i w zamyśleniu przyglądał wąsy. Mollyl patrzył na związaną Rehhaile leżącą pod filarem.

– Kane miał oko na tę sukę. Może jeśli wyprowadzimy ją na zewnątrz i zabawimy się z nią trochę, to przyjdzie ją odbić. Jeśli ona nic nam nie może powiedzieć, to będzie chociaż dobrą przynętą.

Lord Gaethaa rozważał tę propozycję, patrząc pustym wzrokiem na Rehhaile, jakby nieświadomy jej przerażenia.

– Niech tak będzie – postanowił.

Alidor poczuł skurcz w żołądku. Czarownica, nierządnicą, jakiegokolwiek były jej zbrodnie – oddawać ją Mollylowi, dla zaspokojenia jego chorych pożądań – to było zbyt wiele.

– Milordzie – powiedział szybko – wydaje mi się całkowicie nieprawdopodobne, aby taki diabeł jak Kane, przywiązywał znaczenie do cudzego cierpienia. Propozycja Mollyla dałaby tylko Kane'owi czas na ucieczkę lub realizację jakiegoś nowego pomysłu.

Lord Gaethaa przytaknął i Alidor poczuł ogromną ulgę. Ujrzał wyraz wdzięczności na twarzy Rehhaile i błysk nienawiści w oczach Mollyla.

– Po prostu trzeba przeszukać wszystkie domy, jeden po drugim – podsumował lord Gaethaa, wstając od stołu. – Jest nas tylko sześciu, będziemy więc potrzebowali pomocy mieszkańców miasta. Gavein, chcę, żebyś zwołał tu wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni! Będziemy systematycznie przeczesywać miasto, aż nie znajdziemy tego diabła.

Gavein był bardzo znużony, ale w jego zachrypniętym głosie słychać było determinację.

– Proszę, milordzie, mówiłem już, że my w Sebbei nie chcemy uczestniczyć w pańskiej walce z Kane'em. Chcemy tylko...

– Wiem, chcecie rozsiaść się wygodnie i powoli umierać. Poświęćcie umieraniu więcej czasu niż ktokolwiek ma do tego prawo. Możecie pograć się w tym swoim słodkim, spleśniałym życiu, ale najpierw skończymy z Kane'em. Do tego czasu będę od was wymagał pełnej współpracy!

– Proszę wymagać, czego lord sobie życzy, ale nikt w Sebbei nie będzie słuchał pańskich wymysłów – powiedział Gavein przez zaciśnięte zęby.

Lord Gaethaa zaklął w bezsilnej złości.

– Mollyl i Jan, przemówicie temu głupcowi do rozumu! Zmuszę ich wszystkich, aby nam pomogli! Zrobię to, nawet siłą! Ta banda próżniaków nie ośmieli się podnieść na nas ręki!

Mollyl chwycił wążego burmistrza, podczas gdy Jan pracowicie przykręcił hak do przegubu dłoni.

– Milordzie, nie może lord torturować tego człowieka tylko dlatego, że nie chce nam pomóc. –

Sprzeciwił się Alidor. Twarz Krzyżowca spochmurniała.

– Wiem, to godne pożałowania, ale jestem zmuszony. Gotów jestem poświęcić każdą ilość ludzi, aby zniszczyć Kane'a, ponieważ w ten sposób ocalę większość od jego potwornych zbrodni. W każdym razie Gavein i mieszkańcy Sebbei odmawiając pomocy, stanęli po stronie zła. Sami są sobie winni.

Zdecydowanym krokiem wyszedł z pomieszczenia.

– Zostań tutaj z tą suką, jeśli jesteś taki wrażliwy, Alidorze – zaproponował Mollyl z szyderczym uśmiechem.

– Jan, ty i Beli pomożecie mi. Mollyl, zbierz wszystkich. Zirytowany Alidor zmarszczył brwi i zamierzał wyjść, lecz Rehhaile zawołała go po imieniu. Zatrzymał się niezdecydowany i pomyślawszy, podszedł do niej. Z zewnątrz dochodziły krzyki mordowanego człowieka i śmiech oprawców.

– Czy to samo stanie się ze mną? – zapytała. Alidor poczuł się winny.

– Zrobię wszystko, żeby cię nie bolało – powiedział i natychmiast przeklął swoją nieczułość, widząc łzy w jej oczach. Do diabła, dlaczego w tej tak oczywistej sprawie dopuszczał do głosu osobiste uczucie? Co go obchodził los tej kochanki diabła? Jej życie nie znaczyło przecież nic wobec słusznego celu ich misji. Z trudem uprzytomnił sobie, że dla niej jej własny los znaczył najwięcej. Wyciągnął nóż.

– W gruncie rzeczy nie liczysz się zbyt w całej tej historii. Twoje zbrodnie nie są dla nas tak istotne... – bąkał, niezdolny powiedzieć niczego, co w jego własnych uszach nie brzmiałoby głupio i niezdolny przestać mówić. Nóż powoli przecinał jej więzy-

Rehhaile wstała.

– Puszczasz mnie wolno – powiedziała nieprzytomnie.

– Możesz wyjść tylnymi drzwiami, wszyscy są od frontu – mruknął przez zaciśnięte zęby.

Dziewczyna zbladła. Alidor pomyślał o jej drugim wzroku i zdał sobie sprawę, że musiała czuć każdy detal wykonywanej na zewnątrz egzekucji.

– Odejdź od nich! Nie pasujesz do tych ludzi. W twojej duszy nie wygasły jeszcze ludzkie uczucia.

– Co masz na myśli? – zaprotestował. – Ci ludzie, to moi towarzysze broni w misji szerzenia dobra. Czasem jesteśmy zmuszeni stosować brutalne metody, ale naszym celem jest pomóc rodzajowi ludzkiemu. Bez wahania oddałbym życie za lorda Gaethaa. To najwybitniejszy człowiek naszych czasów.

Zaśmiała się – a może był to jęk, Alidor nie miał pewności. Widział, jak spluwa z pogardą.

– Ty nazywasz mnie ślepą, Alidorze? Gaethaa wielkim człowiekiem? Krzyżowiec, walczący z siłami zła. Gdy mieszkał tu Kane nie skrzywdził nikogo. Za to wy, od wczoraj, sterroryzowaliście miasto, zgwałciliście mnie, zdemolowaliście karczmę, znęcaliście się nad Gaveinem, a teraz twój wielki człowiek i twoi towarzysze broni -biją go, aby zmusić mieszkańców Sebbei do posłuszeństwa rozkazom, które nic dla nich nie znaczą.

– Ale to dla dobra wszystkich! – zaproponował gorąco Alidor. – Człowiek, którego szukamy jest jednym z najnikcze-mniejszych...

– A czy wy jesteście lepsi? Czy Gaethaa jest świętym? Czy ludzie tacy jak Mollyl, Jan i Beli są bohaterami? Perwersyjni mordercy! Zwierzęta! Najemnicy, którzy zabijają dla pieniędzy i przyjemności. Alidorze, proszę, odejdź od nich teraz!

– Wynoś się stąd natychmiast – warknął – ja nie opuszczę lorda Gaethaa,

Był zmieszany, ukrył głowę w ramionach, pólżąc na stole. Kroki Rehhaile oddalały się spieszenie, ale on ich już nie słyszał.

Minęły tysiące lat, nim lord Gaethaa zawołał go i Alidor wyszedł na zewnątrz oślepiiony światłem.

– Stary głupiec już nie żyje – poinformował go Krzyżowiec. – Zresztą zupełnie niepotrzebnie. Te chodzące trupy uciekły, gdy tylko próbowaliśmy dać im szkołę. Zamknęli się w domach. Naprawdę poumierają, zanim wyjdą z tej apatii. Nieważne, przez swoje tchórzostwo i tak są dla nas bezwartościowi. Sami znajdziemy Kane'a w ten czy inny sposób.

Mając nadzieję, że Rehhaile będzie już w bezpiecznym miejscu, gdy ktoś spostrzeże jej nieobecność, Alidor poszedł z lordem Gaethaa na plac. Na piachu leżało powykręcane ciało Gaveina. Wilgotne jeszcze, krwawe ślady rysowały się w porannym słońcu. Alidor pomyślał, że w żyłach tego człowieka nie zostało już chyba nic, prócz piasku. Unikał wzrokiem zmasakrowanej twarzy, skierowanej ku niemu. Zauważył to Jan i wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu, czyszcząc hak o udo.

– Przeprowadzić dziewczynę? – zaśmiał się Mollyl. Jego blada twarz była nieruchoma jak maska. – Warto by znowu czegoś spróbować.

Lord Gaethaa wzruszył ramionami.

– Można. Wypuścimy ją i będziemy śledzić. To może przyciągnąć uwagę Kane'a, nawet jeśli nie zaryzykuje spotkania z nią.

Alidor niedbale patrzył, jak Mollyl i Beli wchodzi do karczmy. Nie żałował już swojej decyzji. Uśmiechnął się prawie, słysząc dochodzący ze środka krzyk wściekłości.

– Nie ma jej! – ryknął Mollyl, stając w drzwiach. – Jej więzy są rozcięte. Do diabła z tobą, Alidorze, uwolniłeś tę czarownicę!

– Nic nie zrobiłem – najeżył się Alidor – była związana jeszcze przed minutą, kiedy wychodziłem. Musiał ktoś z miejscowych albo wrócił Kane. Do diabła, w całej karczmie jest pełno rozbitego szkła, sama mogła poprzecinać więzy, kiedy wy zabawialiście się z Gaveinem!

– Dobrze, zostawmy to. Uciekła – przeciął dyskusję lord Gaethaa. Patrzył uważnie na porucznika, ale w końcu zdecydował, że nie ma sensu wszczynać śledztwa. Może Alidor będzie teraz weselszy.

– W gruncie rzeczy nie była nam potrzebna – powiedział. – Jeśli jest teraz z Kane'em, to tym lepiej dla nas. Ograniczy tylko swobodę jego ruchów i będzie dziesięć razy łatwiej złapać ich dwoje niż jego samego. Podzielimy się na dwie grupy. Trzech na jednego, wolałbym, żeby nasza przewaga była większa, ale jeśli będziemy trzymać się razem, możemy co najwyżej gonić w kółko. Z drugiej strony, jeśli podzielimy się na więcej grup, to Kane wystrzela nas pojedynczo, jednego za drugim. Nie wolno nam nie doceniać przeciwnika! Pamiętajcie, że ma za sobą stulecia praktyki w kierowaniu każdym posunięciem. Jeśli go znajdziecie nie dawajcie mu szansy. Zawołajcie pozostałych, gdy znajdziecie się w jego pobliżu i bądźcie gotowi na wszystko. Mollyl i Jan pójdą ze mną na zachód. Alidorze, weź Missę i Bella, i szukajcie we Wschodniej części miasta. Pomyślnych łowów! Dron Missa zerknął krytycznym okiem na Bella.

– Szkoda, że nie możesz wymienić tego temblaku na taki hak jaki ma Jan. Może wtedy do czegoś byś się przydał! Beli poczerwieniał ze złości.

– Kiedy tylko zechcesz. I nie musisz się nawet dopominać. Dostaniesz w tę swoją roześmianą gębę prawą ręką tak samo jak obiema. Chcesz spróbować?

– W porządku, zachowajcie swoją energię na spotkanie z Kane'em – rozkazał Alidor.

Mężczyźni ruszyli przez plac i zagłębili się w ciche ulice wyczuleni na każdy dźwięk, każdy sygnał mówiący o niebezpieczeństwie. Gdzieś w tym mieście duchów czaił się człowiek, którego mieli zgładzić. Misja, która kosztowała już tyle wysiłku i ofiar, miała się wkrótce zakończyć.

– Przy okazji, Alidorze – wyszeptał Dron Missa, gdy ruszyli. – Z Rehhaile, to było dobre posunięcie.



Alidor spojrział ze zdumieniem na Waldańczyka, ale widząc jego uśmiech, też się uśmiechnął.

## IX ŚMIERĆ UKRYTA W CIENIU

Kane ostrożnie czołgał się po dachu, obserwując trzech mężczyzn idących ulicą na dole. Ranek przeszedł w popołudnie i cienie znów kładły się w poprzek pustych alei. Wkrótce dotrą do przeciwległych domów, stracą na ostrości, aż wreszcie pokryją całe miasto. Wtedy do Sebbei powróci noc.

Kane wyczekiwał nocy. W ciągu dnia wytrwale unikał swoich prześladowców, idąc zawsze trochę przed nimi. W ten sposób miał ich cały czas na oku i, tym samym, zapobiegał spotkaniu. Ufał bezgranicznie swojemu męstwu, ale wiedział, że przeciwnicy są także zahartowani w walce. Nie chciał wpaść im w ręce nieprzygotowany. Trzech z nich było w stanie przytrzymać go, do nadejścia pozostałych. Kane nie zamierzał dać się znów wpędzić w pułapkę. Czekał więc, aż nadejdą ciemności. Noc mu sprzyjała, wyczerpując siły przeciwników i stępując ich uwagę.

Dach był gorący. Leżąc na połyskliwej, pokrytej łupkami powierzchni, Kane pomyślał ze wzruszeniem, że to słońce pustyni świeci nad Dermonte. Rozgrzane dachówki parzyły jego ciało, a pot znaczył drogę, tworząc wilgotną smugę na czarno-zielonej powierzchni. Mokra dłoń ślizgała się podczas wspinaczki po nierównym dachu. Łatwiej było przemykać się ulicami i alejami, lub błądzić po opuszczonych domach. Tych niewielu mieszkańców, których spotykał, uciekało na jego widok, unikając jego spojrzenia. Kane wiedział, że tak samo uciekali przed jego prześladowcami. Gdy tamci wypytywali o niego, zaszywali się w swoich norach. Czuł, że nie zdradziliby go. Patrzyli biernie, jak ci obcy przetrząsali ich sklepy i domy. Wskazywali gdziekolwiek, gdy wśród pogroźek żądano od nich wyjawienia miejsca pobytu Kane'a. W końcu Gaethaa i jego towarzysze zaniechali bezcelowego wypytywania.

Kane porzucił płataninę ulic i domów. Mógł się w nich wprawdzie ukrywać, ale nie był w stanie śledzić posunięć przeciwników. Taka kryjówka mogła stać się pułapką. Chodząc zaś po dachach, uciekinier miał wszystkich na oku.

Zaalarmował go jakiś szelest. Wyciągnął nóż. Spod jego buta wyskoczyła długa, szara jaszczurka. Płaz zatrzymał się kilka kroków dalej i zaczął przyglądać się człowiekowi swoim nieprzeniknionym, szklanym wzrokiem. Kane oblizwał wysuszone wargi i wierzchem brudnej dłoni otarł lepka od potu twarz. Pochwa miecza boleśnie obtarła mu skórę na plecach, a pot całkiem zmoczył ubranie. Rozpięcie koszuli i podwinięcie rękawów niewiele dało, bo skórzane spodnie i kamizelka parzyły bezlitośnie. Dopiero nocą powietrze stanie się chłodniejsze. Znów znaleźli się w pobliżu wewnętrznego muru Sebbei, a dobiegała druga runda poszukiwań. Raz już żołnierze lorda Gaethaa przemierzyli drogę od placu do muru i z powrotem. Nastroje były równie jak powietrze gorące i Kane usłyszał strzęp rozmowy, w której ktoś argumentował, że poszukiwany prawdopodobnie opuścił już miasto. Czujność malała, a niezadowolenia rosło. Kane zdecydował, że jest to najlepszy moment, żeby uderzyć.

Każda grupa poszukiwaczy wyposażona była w łuk. Przed wejściem do każdego domu, oglądali go dokładnie. Teraz zbliżali się właśnie do budynku, na którego dachu ukrywał się Kane. Stłoczyli się pod kamiennym zwieńczeniem, znad którego ich obserwował. Alidor stał z tyłu z przygotowaną strzałą i uważnie badał wzrokiem frontową ścianę domu. Dron Missa i Beli weszli do środka. Po chwili, zawołany przez nich, wszedł również Alidor.

Przyciskając ucho do dachówki, Kane usłyszał stłumiony łoskot. Znudzeni mężczyźni po kolei badali pokoje rozwalonego mieszkania. Ze środka nie było przejścia na dach, więc uciekinier wiedział, że chwilowo jest bezpieczny. Dom najwyraźniej był zniszczony jeszcze przed nadejściem zarazy, a późniejsze lata przywiodły go do niemal całkowitej ruiny. Kilka godzin wcześniej Kane o mało nie stracił równowagi, gdy kamienny gzyms zachwiał się pod jego ciężarem. Podczas gdy jego

wrogowie penetrowali wnętrze, Kane pracowicie zaatakował nożem kamienne zwieńczenie. Ostrze zagłębiało się w zaprawie, tak jakby to był muł. Wokół jego nóg szybko rosła sterta gruzu. Pozostawało mieć nadzieję, że głębiej kamień nie będzie twardszy.

Z ulicy znów zaczęły dochodzić głosy i Kane szybko schował nóż. Podnosząc się usiłował dostrzec mężczyzn, wychodzących z domu. Szczęście wciąż mu sprzyjało. Mogli przecież wyjść tylnymi drzwiami. Pole widzenia miał ograniczone, więc tylko na podstawie dochodzących z dołu dźwięków określił moment, w którym znaleźli się pod zwieńczeniem. Nadszedł czas, żeby zaryzykować. Powoli zaczął napierać na kamienną konstrukcję, mając nadzieję, że wraz z nią nie zawali się cała frontowa ściana. Początkowo kamień oparł się naciskowi, więc Kane rzucił się na całym ciężarem swojego masywnego ciała. Fasada zachwiała się i runęła w dół. Tracąc równowagę, Kane rozpaczliwie zatrzepotał rękami, ale udało mu się utrzymać na krawędzi dachu. Mężczyźni wynurzali się już z ciemnego wnętrza gdy Dron Missa poczuł, że tynk osypuje mu się na twarz. – Uwaga! – krzyknął. Jego reakcja była szybsza niż myśl. Wyskoczywszy na ulicę, błyskawicznie przeturlał się na jej drugą stronę. Jednocześnie stojący w drzwiach Alidor wskoczył z powrotem do środka. Ociężały Beli nie był obdarzony takim refleksem. Nie rozumiejąc czemu Missa krzyczy, zmarnował całą sekundę, aby spojrzeć w górę. W jego oczach zdążył się jeszcze odbić strach, gdy zobaczył lecącą wprost na niego kamienną ścianę. Wydał z siebie krótki jęk i padł, zmiażdżony pod gruzami. Alidor patrzył z przerażeniem na stertę kamieni przed drzwiami. Ułamek sekundy dzielił go od śmierci.

– Jest tam! – krzyknął Missa, wskazując na uciekającego po dachu Kane'a. – Alidor, szybko, chodź tu z łukiem! Kane jest na dachu!

Uciekinier zamierzał przedostać się na sąsiedni dom. Niezbyt odległe głosy żołnierzy odpowiedziały na krzyk Missy, a Kane chciał uniknąć spotkania z napastnikami w otwartym terenie. Podskoczył i zaczął wspinać się na nieco wyżej położony drugi dach. W połowie drogi jedna z dachówek pękła pod jego ciężarem i Kane ześliznął się na dół, próbując wyhamować paznokciami. Przekoziółkował raz i upadł z powrotem na poprzedni dach. Serce waliło mu ze zdenerwowania, gdy znów rozpoczął wspinaczkę, ciesząc się, że poleciał tylko kilka metrów, a nie na sam dół. Uchylając się przed strzałą, dotarł do szczytu i ześliznął się na drugą stronę.

Budynek przylegał tu do niższego o piętro domu. Przytrzymując się rynny, Kane skoczył na sąsiedni dach. Wściekłe krzyki z dołu znów się przybliżyły, ale czuł się już pewniej. Dotarłszy do schodów, zbiegł po nich na równoległą ulicę. Wszedł do najbliższego budynku po drugiej stronie, zanim ludzie lorda Gaethaa zorientowali się, którędy uciekł. Gdy w pośpiechu usiłowali odtworzyć jego ruchy, Kane przebiegł przez kilka pustych, połączonych od wewnątrz domów i znów, nieco dalej, wyskoczył na ulicę. Była już noc. Na Dermonte opadła aksamitna kurtyna, wysadzana perłami gwiazd i księżycy. Ich światło, jak nikły blask cmentarnych świec, głębokimi cieniami rzeźbiło twarz śmierci. Gdzieś wśród ruin przemykali synowie nocy, krocząc uroczyście jak żałobnicy w absolutnej ciszy.

W całym mieście tylko z kilku domów przez szpary w okiennicach sączyły się stróżki światła. Śmierć znów szła ulicami Seb-bei i mieszkańcy drżeli na dźwięk jej znajomych kroków. Nawet nocne widma zdawały się wiedzieć, że powróciła do Dermonte i umykały w cień przed jej nagim mieczem. Pięciu ludzi z pochodniami szło ulicą, wlokąc za sobą długie cienie. Mężczyźni o ponurych twarzach podejrzliwie badali każdy kamień i każdy dom. Z uwagą wypatrywali śladów obecności swojej ofiary. Zdecydowany zakończyć wreszcie tę niebezpieczną zabawę w kotka i myszkę, lord Gaethaa zebrał pozostałych przy życiu towarzyszy i zarządził całonocne poszukiwania. Teraz, przy świetle pochodni, raz jeszcze przemierzali znajome ulice i zaglądali do pustych domów. Była to walka na przetrzymanie i lord Gaethaa postanowił nie dać swojemu przeciwnikowi ani chwili

odpoczynku. Jeśli nawet nieco łatwiejsza była rola lisa niż psa gończego, to psy miały przewagę liczebną i mogły polować na zmianę. Coraz bardziej zmęczony Kane stawał się przecież mniej ostrożny.

– Do diabła, idę o zakład, że Kane'a nie ma już w Sebbei! – mruknął Jan, którego pewność siebie zmniejszyła się po kilku godzinach bezowocnych poszukiwań. – Pewnie śpi gdzieś po drugiej stronie muru, podczas gdy my drepczemy po tych ulicach w tę i z powrotem. Byłby głupcem, gdyby został tutaj i uciekał przez całą noc.

– To prawda, jeśli założymy, że Kane rzeczywiście przed nami ucieka – zauważył Dron Missa, jakby z trudem dobywając głosu. – Myślę, że on idzie cały czas za nami. Wydaje nam się, że gonimy za lisem, a moim zdaniem jest to polowanie na tygrysa. Uczestniczyłem kiedyś w czymś takim daleko na południe stąd i pamiętam uczucie niebezpieczeństwa towarzyszące każdemu ruchowi w ciemnej dżungli. Polowaliśmy na drapieżnika na jego własnym terenie i nikt nie był pewien, czy to właśnie tygrys jest ofiarą. Trzech z nas zginęło, zanim go w końcu dopadliśmy.

– Jest oczywiste, że Kane nie ogranicza się do ucieczki – przerwał mu ostro lord Gaethaa. – Wiemy, że szedł za nami do karczmy i zamordował Seda. Wciąż jest w pobliżu. Stoi gdzieś przyczajony jak kobra i czeka na okazję do ataku. Ale jego odwaga może go zgubić. Zniszczymy go prędzej niż on nas! Więc miejcie oczy otwarte! Pamiętajcie, że on tylko czeka, żebyśmy mu dali szansę!

Znów skoncentrowali się na poszukiwaniach. Alidor szedł obok Drona Missy i z niepokojem obserwował tego, zazwyczaj zuchwałego, Waldańczyka.

– Co z tobą, Missa? – spytał cicho. – Nigdy nie widziałem cię w takim ponurym nastroju. Czy to miejsce tak na ciebie działa?

Żołnierz spojrzał na niego ostro, jakby nieco zawstydzony.

– Ze mną wszystko w porządku. To był długi dzień i tyle. Przerwał na moment.

– Nie, to nie wszystko. Kane, to miejsce, ci ludzie... Coś mi przeszkadza. Moje nerwy są jakby... To jest tak jak na tym polowaniu na chwilę przedtem, zanim ten prądkowany diabeł wyskoczył z gąszczu i rozerwał człowieka na sztuki o trzy metry za mną. Teraz mam to samo uczucie. Jeszcze gorsze... Myślę, że tym razem tygrys może skoczyć na mnie...

Zamilkł, niepewny. Klepnął Alidora po ramieniu, a jego twarz rozjaśniła się w dawnym uśmiechu.

– Nie pozwól mi zarazić cię tymi myślami. Wróć do formy, gdy wykurzymy Kane'a na otwartą przestrzeń. Ten monotony spacer po mieście duchów nie jest w moim stylu, to wszystko.

– Do diabła, nie obawiam się o twoje nerwy, Missa! – upewnił go Alidor. – Wszyscy jesteśmy na granicy wytrzymałości, a Kane z pewnością czuje się jeszcze gorzej. Pytanie, czy zdecyduje się tu zostać, czy ucieknie z miasta. Do świtu zostało już niewiele godzin.

Śmierć czekała w cieniu.

Kane otworzył ciężką klapę. Nie używane od dawna zawiasy jęknęły. Zadowolony, że w pobliżu nie ma nikogo, dokładnie obejrzał cuchnącą, wilgotną piwnicę.

Bez światła trudno było stwierdzić, czy stary tunel wciąż jest dostępny. Cisza. Jego przeciwnicy nie dotarli jeszcze do tego miejsca, chociaż gdy Kane rozejrzał się po raz ostatni, światła ich pochodni zbliżały się już do pozornie opuszczonego budynku. Piwnica była częścią magazynu, zbudowanego niegdyś z mocnych kamiennych ścian, które miały chronić różne kosztowne towary przed złodziejami. Magazyn stał w pewnej odległości od innych budynków, tak że niewielka odległość dzieliła jego tylną ścianę od wewnętrznego muru miasta. Swego czasu, najwyraźniej jeszcze przed wzniesieniem murów zewnętrznych, kupcy kazali wydrążyć tunel łączący magazyn z piwnicami sklepów leżących poza ówczesnymi granicami miasta. W tamtym okresie karawany

wiozące różne towary zatrzymywały się w podmiejskiej gospodzie dla zażycia odpoczynku i oferowanych tam rozrywek. Korzystne było wtedy przeniesienie niektórych dóbr tu-nelem, wprost do magazynu, bez konieczności płacenia wysokiego cła i bez wiedzy władz, gdyż niektóre towary pochodziły z przemytu. W późniejszych czasach mniej korzystano z tunelu, aż opustoszał on zupełnie po nadejściu zarazy. Kane odkrył go kiedyś przypadkiem, gdy włóczył się bez celu po mieście umarłych. Ciekawość kazała mu zaryzykować podróż korytarzem, mimo że spróchniałe podpory i zapadające się ściany groziły zawaleniem.

Przypomniał sobie teraz o starej piwnicy i tunelu, i postanowił wykorzystać je w planowanym ataku na prześladowców. Kane przypuszczał, że lord Gaethaa i jego ludzie zechcą wejść do magazynu i rozejrzeć się wśród zakurzonych stert i bel materiału.

Była mała szansa, że znajdą kłapę. Kane sam pierwszy raz dostał się do magazynu, zaczynając od drugiego końca tunelu, tamtędy mógł też wyjść w razie niebezpieczeństwa, zakładając, że tunel zapadł się od czasu, gdy siedł nim wiele tygodni temu. To było pewne ryzyko.

Kane wspiął się cicho po piwnicznych schodach i przeszedł przez ciemny magazyn. Sprawdził, czy wielkie zasuwki na tylnych drzwiach są na swoim miejscu. Mniejsze drzwi frontowe były podobnie zaryglowane. Pozostawały tylko te najbardziej masywne, zamykające główne wejście do magazynu. Wszystkie zrobione były z grubego, okutego, żelazem drewna. W pomieszczeniu nie było okien, a ściany wykonano z ciężkich kamiennych bloków. Główne drzwi, jeśli były zamknięte, można było sforsować tylko przy pomocy toporów i taranów. Wszędzie, pośród kurzu i pajęczyn, walały się skrzynie z kosztownymi towarami, czekając na kupców, którzy nigdy już nie nadejdą. Były tam całe góry ozdobnych dywanów, stosy ubrań i futer, półki z porzewiałymi wyrobami z metalu. Nieco dalej pokryte pleśnią meble, rozwalające się skrzynie z przyprawami korzennymi. Przepych rozkładający się pod wpływem nieubłaganego czasu.

Główne wejście było tak olbrzymie, że mogły przez nie wjeżdżać całe wozy. Drzwi otwierało się, podnosząc je do góry, dzięki systemowi przekładni i łańcuchowi nawiniętemu na obracający się drewniany bęben. Uruchomienie mechanizmu wymagałoby ogromnej siły, ale teraz wejście było otwarte, choć nie używane od czasów, gdy śmierć zabrała właścicieli magazynu i ich klientów. Obrotowy mechanizm był zamontowany na frontowej ścianie. Przymocowany do drzwi gruby łańcuch poruszało się przy pomocy korby.

Kane już wcześniej, zapoznał się z działaniem tej maszyny. Wyciągnął z pochwy swój długi miecz i ukrył się w cieniu sterty materiałów w pobliżu korby. Spod jego buta wyskoczył wielki szczur. Kane wykrzywił usta w lekkim uśmiechu, gdy dojrzał na ścianie odbłask migoczących świateł pochodni i usłyszał zbliżające się kroki. Napięcie związane z oczekiwaniem opuściło go w jednej chwili. Przebiegły czy zuchwały, Kane był teraz gotów na wszystko. Światła przybliżyły się. Echo ludzkich głosów odbijało się od ścian. W drzwiach pojawiły się sylwetki żołnierzy. Weszli.

Stojąc ze wzniesionymi pochodniami, dokładnie oglądali wnętrze. Kane przywarł do ściany dobrze ukryty za belami materiału. Dwóch mężczyzn weszło, reszta została na zewnątrz.

– Widzisz coś, Mollyl? – dobiegło od strony wejścia.

– Nic, jak zwykle – krzyknął człowiek z hakiem w miejscu prawej dłoni. Jan zdecydowanym krokiem wszedł do magazynu. Mollyl podążał za nim.

Kane wynurzył się z cienia i podszedł do korby. Jego sylwetka zarysowała się wyraźnie w świetle pochodni.

– Kane jest tutaj! – krzyknął Mollyl ostrzegawczo. Lord Gaethaa wydał okrzyk triumfu.

Zostały tylko sekundy. Kane pociągnął za dźwignię, odblokowując hamulec. Korba mogła się teraz swobodnie obracać, nic nie blokowało już mechanizmu i drzwi powinny były opaść. Pozostały

jednak na swoim miejsclu!

Zaskoczony niepowodzeniem swojego planu, Kane stracił kilka sekund na niepotrzebne rozważania. Czy źle zrozumiał działanie mechanizmu? Może urządzenie popsuło się przez lata nie używania?

Z wściekłością rzucił się na korbę i naparł na nią całym swoim ciężarem. Jeszcze kilka sekund i wrogowie będą go mieli. Jan i Mollyl otrząsnęli się już z pierwszego szoku. Ich krzyki i tupanie przybliżyły się. Jednym uderzeniem muskularnego ramienia Kane strzaskał drewnianą poprzeczkę. Pod wpływem gwałtownego wstrząsu, przekładnia drgnęła i zaczęła się posłusznie obracać, zgrzytając i warcząc. Zardzewiały łańcuch pękł i potężne drzwi runęły w dół. W nocnej ciszy rozległ się ogłuszający grzmot. Bęben zawirował, niczym wielki bąk, wprawiony w ruch pociągnięciem łańcucha. Jan i Mollyl cofnęli się, uderzeni falą powietrza. Obracająca się dźwignia ścięła Kane'a z nóg i rzuciła nim o ścianę. Cały budynek zadrżał, gdy drzwi zatrzęsły się jak brama piekieł. Drewniany bęben odpadł od ściany i wraz z łańcuchem przetoczył się przez magazyn, przewracając Jana i Mollyla na ziemię i demolując doszczętnie skrzynie z drogimi towarami ze szkła. Na zewnątrz na lorda Gaethaa i jego dwóch towarzyszy posypały się kamienie. Wszystko zniknęło na chwilę w gęstej chmurze pyłu.

– Alidor, Missa, szukajcie wejścia do środka, szybko! – w głosie lorda Gaethaa dźwięczała nuta bezsilnej złości. – Jeżeli wszystkie drzwi są zamknięte, to sforsujemy te, które będą najsłabsze. Przeklęty Kane, znowu udało mu się nas rozdzielić.

Zapadła cisza. Podniósłszy się z ziemi, trzech mężczyźni przy-stąpili do ataku. Mollyl i Jan trzymali jeszcze pochodnie. Kane podniósł się i wyprostował. Poczł bolesne pulsowanie w prawym boku. Z natężenia bólu wywnioskował, że żebra są całe. Prawą ręką sięgnął do pochwy.

– Kane – zawołał Jan. – Pamiętasz mnie? To było ponad dziesięć lat temu. Minęło już dziesięć lat od czasu, gdy miałem prawą dłoń, dom i rodzinę, ale wtedy przybyłeś ty ze swoją Czarną Flotą; czy nie tak było, Kane? Powinieneś był obciąć mi wówczas głowę zamiast ręki. Poluję na ciebie od tego czasu. Zgubiłem cię w Montes, mówiono, że zginąłeś, ale ja wiedziałem, że żyjesz i prowadzisz swoje diabelskie interesy w innych krajach. Wiedziałem, że kiedyś znów skrzyżują się nasze miecze. Los tak zrządził, że twoje serce zawiśnie na moim haku.

– Więc znasz mnie. Haku? – zadrwił Kane. – Przepraszam, ale zapomniałem twojego imienia tak jak i twojej twarzy. Powiniennem pamiętać człowieka na tyle głupiego, że ośmielił się wejść mi w drogę po raz drugi.

Od strony bocznych drzwi dobiegały odgłosy stłumionego walenia, ale Kane wiedział, że drzewo nie podda się tak łatwo.

Z wściekłym wrzaskiem Jan cisnął pochodnię prosto w twarz Kane'a. Dzieliło ich kilka metrów i Kane z łatwością uskoczył w bok. Płomień musnął jego brodę i pochodnia upadła na stertę materiałów i ubrań. Nasączone olejem, zapaliły się natychmiast. Mollyl umieścił swoją pochodnię pomiędzy dwoma skrzyniami.

– Ja też cię znam, Kane – zawołał. – Czy jesteś zaskoczony, że dwóch mieszkańców Wyspowego Imperium goniło za tobą, po twoich krętych ścieżkach, nawet przez piaski Lormauu? Jan, przekonamy się teraz, jak walczy Kane, gdy nie ma za sobą swoich ludzi, zobaczymy, czy wąż może być niebezpieczny poza swoją kryjówką.

Jan złapał miecz swoją lewą ręką, błysnęło ostrze jego haka. W dłoni Mollyla sztylet zastąpił pochodnię i Pellimita rzucił się na Kane'a. Jan przemknął na bok, aby zaatakować z flanki. Z tym, za Kane'em, z podpalonych bel materiału strzelały płomienie. Uderzony falą gorąca, Kane odbił miecz Mollyla, jego samego odrzucając do tyłu potężnym pchnięciem. Jednocześnie usiłował zablokować

Janowy hak przy pomocy puginału. Posypały się iskry. Kane cofnął się, aby uniemożliwić napastnikom zajście go od tyłu. Jeszcze wiele razy krzyżowały się ostrza mieczy. Dwóch sprawnych szermierzy atakowało z furją. Boczne drzwi dygotały, uderzane od zewnątrz, ale wciąż pozostawały na swoim miejscu. Sforsowanie ich zajmie lordowi Gaethaa i pozostałym jeszcze trochę czasu. Zarówno Kane, jak i napastnicy nie mieli zbroi ani kolczug, a więc pojedynek nie powinien potrwać długo. Ogień rozprzestrzeniał się szybko, obejmując już dywany, skrzynie i meble. Piekielny żar zmusił Kane'a do odsunięcia się od płomieni. Dym gryzł w oczy i drażnił gardła. Wprawiając swój śmiertelny miecz w ruch okrężny, Kane rzucił się pomiędzy przeciwników. Janowy miecz niemal otarł się o jego ramię. Walczyli teraz w otwartej przestrzeni i Kane przeszedł do natarcia, słysząc dźwięk toporów uderzających w boczne drzwi. Pomieszczenie było teraz jasno oświetlone przebijającym się przez dym żółtym światłem płomieni. Sterty skrzyń rzucały groteskowe cienie, tańczące na podłodze i ścianach kształty, które także zdawały się uciekać przed niszczącą siłą ognia.

Z najwyższym wysiłkiem Kane'owi udało się rozdzielić napastników. Zanim Jan zrozumiał, co się stało, Kane rzucił się na Mollyla. Pellimite nie miał dość siły, aby odpowiedzieć ciosem na cios, więc wycofał się błyskawicznie, lekko odparowując uderzenie. Ogień poparzył go teraz w plecy i Mollyl wykrzywił twarz w bólu i strachu. Jego obrona zachwiała się. Nie zdążył się nawet odwrócić, gdy miecz Kane'a uderzył go w ramię. Mollyl w przerażeniu puścił swój miecz i skoczył do tyłu, padając na rozpalone do czerwoności fragmenty drewnianych mebli i skórzanych siodeł. Jęcząc w ogniu, usiłował jeszcze wstać. Języki ognia tańczyły na jego włosach i ubraniu. Oślepiiony i na wpół spalony rzucił się na podłogę, próbując uciec przed potwornym bólem, ale była to już jego ostatnia chwila.

W międzyczasie Jan zdążył zebrać się w sobie i ponowić atak. Ruszył od tyłu na swojego nienawidzonego wroga. Kane nie zapomniał jednak o drugim przeciwniku i wyczuwając za sobą niebezpieczeństwo, uchylił się, aby uniknąć ciosu. Miecz uderzył w próżnię, ale Kane poczuł przeszywający ból w prawym ramieniu. Hak przebił skórzaną kamizelkę i zagłębił się w ciało. Raniony usiłował zadać cios puginałem, ale ból utrudniał ruchy. Jan zaśmiał się i uderzył hakiem w szyję, wyrывая go z ręki Kane'a. Zamachnął się mieczem. Kane odpowiedział waląc w przeciwnika z furją, niemal na oślep. Ogień rozprzestrzenił się, a boczne drzwi zaczynały ustępować. Brutalne uderzenie oszołomiło Jana na chwilę i Kane wykorzystał ten moment, aby zaatakować. Ciężki miecz rozpruł ciało jego wroga, łamiąc mu żebra. Jan zwałił się na podłogę wypuszczając z ręki broń. Podczołgał się jeszcze w kierunku Kane'a, wyciągając hak. Skonał w chwilę później z wyrazem nienawiści w oczach. Gorące powietrze uderzyło Kane'a w twarz. Pożar ogarnął już tę część magazynu, gdzie leżały zwłoki Mollyla. Boczne drzwi wytrzymały jeszcze taranowanie, ale prawie całe pomieszczenie było w ogniu. Paliła się podłoga. Zwęglone deski zapadały się do piwnicy. Trudno było oddychać i dostrzec cokolwiek w kłębach dymu. Kane w pośpiechu odszukał swój puginał i ruszył w kierunku schodów do piwnicy. Na zewnątrz czekali wrogowie, więc tunel był jedyną drogą ucieczki. Ale jeśli podłoga zapadnie się, zasypując wejście...

Wejście było jeszcze dostępne. Trzymając w ręku pochodnię, zaimprovizowaną z płonącej szczapy, Kane podniósł klapę i wszedł do tunelu. Cuchnące pleśnią podziemie nie doznało, w wyniku pożaru, żadnego szwanku. Stęchlizna i wilgotne powietrze były jakby odwróceniem tego, co działo się na górze. Szedł przez tunel tak szybko, jak tylko mógł. Pochodnia dawała niewiele światła, ale to wystarczyło, żeby znaleźć drogę. Nad jego głową wisiały spróchniałe deski, odcięte od ścian, a zwały gruzów gdzieś tam niemal zupełnie zagradzały przejście. Kane czołgał się po tych stertach kamieni, drewna i brudu pilnując tylko, aby nie zgasła pochodnia. Osypująca się ziemia wraz z krwią z jego ran tworzyła ciemnoczerwone błoto, które przyklejało się do jego pleców i nóg.

Kane w każdej sekundzie zdawał sobie sprawę, że tunel może okazać się całkiem zasypany i stanie się jego grobowcem. W pewnym momencie dał się słyszeć, dobiegający od tyłu, tępy łoskot. Kane popatrzył niespokojnie na ściany tunelu, ale pomyślał, że przyczyną hałasu było prawdopodobnie zawalenie się dachu magazynu. Szedł teraz głęboko pod ziemią i tunel był tu solidniejszy. Po chwili poczuł, że idzie pod górę. W świetle pochodni zamajaczyły stopnie schodów. Wszedł po nich z pośpiechem i pchnął ukryte drzwi, prowadzące do piwnicy pod starą opuszczoną gospodą. Przeszedłszy przez pusty budynek, dotarł do drzwi i wynurzył się na zewnątrz. Odległy magazyn strzelał jasnym płomieniem w szarzejące już w porannym blasku niebo. Jego wrogowie z pewnością myślą, że nie żyje. Drżąc z bólu Kane zatrzymał się przy gospodzie, żeby umyć i opatrzyć swoje poparzone, krwawiące ciało. Spośród tych, którzy postanowili go zgładzić, żyje jeszcze trzech. Ani rany, ani zmęczenie, nic nie osłabiło wściekłości Kane'a.



## X KRAINA UMARŁYCH

Gdy ze szpar w murze zaczął się sączyć dym, a drzwi stały się nieznośnie gorące, lord Gaethaa rozkazał zaprzestać wysiłków ich forsowania.

– To miejsce jest stracone – oświadczył odkładając topór. – Wszyscy, którzy pozostali przy życiu, muszą wyjść stamtąd natychmiast. W przeciwnym razie uduszą się w dymie, jeśli wcześniej nie spłoną. Jan i Mollyl otworzą drzwi, jeśli żyją, a jeśli zginęli, to Kane ma do wyboru upiec się w środku, lub wyjść prosto pod nasze miecze. W każdym razie jeszcze przed świtem będzie się smażył w piekle. Odsuńcie się i obserwujcie drzwi.

Mężczyźni wykonali polecenie. Jeden obserwował drzwi, podczas gdy dwóch pozostałych miało na oku boczne wejście. Z pewnością nikt nie wymknął się ze środka w czasie, gdy bez powodzenia próbowali się tam przedrzeć. Z mieczami gotowymi do natychmiastowego użycia czekali, aż otworzą się któreś drzwi, aż wśród płomieni i kłębow dymu pojawi się w nich ludzka postać. Jeżeli będzie nią Kane, to nie dadzą mu nawet czasu, aby nabrał w płuca świeżego powietrza.

Ale żadne drzwi się nie otworzyły, nikt nie wyszedł na zewnątrz. Hałas dobiegający ze środka oznajmił o zawaleniu się podłogi. Po chwili z potężnym hukiem runął dach. Z wnętrza budynku, jak z wulkanicznego krateru wystrzeliły ku niebu języki ognia. Wkrótce trawione płomieniami drzwi runęły do środka, odsłaniając obraz strasznego spustoszenia. Rozgrzane mury wciąż stały, ale ludzie przestali już obserwować wyjście.

– Stos pogrzebowy Kane'a – powiedział triumfalnie lord Gaethaa. – Zabrał ze sobą jeszcze dwóch wspaniałych ludzi, ale ci zginęli jak bohaterowie.

Odwrócił się do Alidora, aby przyjąć od niego gratulacje.

– Zostało nas tylko trzech. To była kosztowna kampania, najniebezpieczniejsza w mojej karierze. Ale nasz cel był wielki i w końcu osiągnęliśmy sukces. Najczarniejszego potwora wszechczasów w końcu spotkała śmierć, którą tak długo udawało mu się oszukiwać. Zasłużyliśmy sobie na wdzięczność rodzaju ludzkiego. Raz jeszcze zimnym światłem dobra rozproszyłem zły cień.

Nagle uwagę ich przyciągnął jakiś szelest.

– To czarownica – oświadczył lord Gaethaa, widząc jej oświetloną blaskiem pożaru sylwetkę.

Rehhaile zatrzymała się na początku ulicy, teraz prawie niewidoczna w cieniu budynku. Jej niewidzące oczy skierowane były w jakiś odległy punkt. Mieli wrażenie, że zbiera się na odwagę, aby do nich podejść. Dlaczego wróciła? – pomyślał Alidor. Z pewnością drugi wzrok powiedział jej, że ją zauważyli. Czy Kane znaczył dla niej tak wiele, że rzuciła wszystko, aby być przy jego śmierci? Alidor poczuł coś w rodzaju zazdrości.

– Milordzie – zaczął – czy nie moglibyśmy zapomnieć o jej...?

Lord Gaethaa wzruszył ramionami. Był w uroczystym nastroju i jeśli porucznik interesował się tym stworzeniem, to mógł spokojnie zadośćuczynić temu kapryswi.

– Oczywiście, Alidorze, jeśli to ma usmierzyć twoje wątpliwości. Kane nie żyje, a ona była tylko jego kochanką i ofiarą. Została już ukarana za swój udział w jego zbrodniach.

– Wyjdź z cienia, wiedźmo. Postanowiliśmy potraktować cię łagodnie – oświadczył wspaniałomyślnie. – Nie musisz się już obawiać naszej sprawiedliwości. Chodź i zobacz, jaki los spotkał potwora, któremu służyłaś.

Rehhaile podeszła do nich.

– Kane nie żyje – powiedziała smutnym głosem. – Poczulałam to, gdy go osaczyliście, więc przyszedłam, żeby być przy jego śmierci. Został uwięziony w płonącym magazynie i zginął w ogniu. Czulałam ten moment. Zniszczyliście Kane'a tak, jak to było waszym zamiarem, wasza misja jest

wypełniona. Czy rankiem opuścicie Sebbej?

– Więc twój diabelski wzrok powiedział ci, że Kane nie żyje? – uśmiechnął się Gaethaa. – Zazdroszczę ci – dałbym wiele, żeby móc dzielić z tobą tę wizję. Ale zobacz, Alidorze, mimo że tak się nią interesujesz, ona pragnie tylko naszego wyjazdu. Ruszamy, gdy tylko trochę odpoczniemy i zaopatrzymy się w prowiant. Nigdy nie czekałem na wdzięczność tych, którym służyłem, a Sebbej mało mnie pociąga. Ale teraz chcę ogrzać się przy płonącym pogrzebowym stosie mego wroga.

– A ja pójdę odetchnąć świeżym powietrzem. – Dron Missa ziewnął. – Ten dym wydziela zapach palonych śmieci. Co za graty musiano trzymać w tym magazynie...

Waldańczyk skierował się w stronę miejskiego muru i wspiał się na nasyp. Na tle szarzejącego nieba widzieli jego szczupłą sylwetkę, gdy przechadzał się po murze, jak strażnik miasta umarłych.

Krzyżowiec usadowił się naprzeciw ściany magazynu. Rozmarzony, uśmiechał się do gasnących już płomieni, raz jeszcze przeżywając wszystkie emocje minionych dni i zastanawiając się, dokąd teraz poprowadzi go zimne światło. Najpierw do Kamethae po nowych ludzi i ekwipunek. Nadworni poeci będą opiewać śmierć Kane'a, ale w wielu jeszcze miejscach ludzie oczekują pomocy Mściciela.

Alidor i Rehhaile włóczyli się po ulicy. Czarownica chce porwać porucznika, pomyślał lord Gaethaa. Alidor jest nią zafascynowany i ma prawo do rozrywki.

Znad jeziora unosiła się poranna mgła. Dron Missa leniwie oparł się o nasyp i rozluźnił mięśnie. Usłyszał za sobą kroki i spojrzał w górę, aby zobaczyć kto idzie.

Jakiś człowiek szedł po murze w jego kierunku. Płynąc we mgle sprawiał wrażenie anioła śmierci. Z jego postaci emanowała groźba, błyszczała w jego oczach, promieniowała z obnażonego miecza.

– Kane! – wyszeptał Missa, poznając zabandażowanego rycerza. Jego zaskoczenie trwało tylko kilka sekund. Wyciągnął miecz. Kane ruszył na Waldańczyka. Missa błyskawicznie odparował cios i sam z kolei przeszedł do ataku. Uchyliwszy się, Kane znów natarł na niego, stosując już bardziej przemyślaną taktykę. Jego przeciwnik świetnie władał bronią, a usztywniona prawa ręka Kane'a nie mogła poruszać się ze zwykłą sprawnością.

Missa zawsze bez trudu potrafił przystosować się do leworęcznych przeciwników. Jednak szybkość Kane'a zaskoczyła go. Zupełnie nie pasowała do potężnej postury tego mężczyzny. Uświadomił sobie, jak olbrzymiej sile musi stawiać czoła. To był najzdolniejszy i najniebezpieczniejszy szermierz, z jakim kiedykolwiek dane mu było walczyć, i tylko jego własna doskonała technika raz za razem broniła go przed mieczem napastnika.

Z rosnącym niepokojem Missa przypominał sobie wszystkie opowieści o Kanie i śmierci swoich towarzyszy podczas wyprawy lorda Gaethaa.

Waldańczyk poczuł ostry ból w prawym udzie. Rana nie była głęboka. Cofnął się o krok udając, że zaraz upadnie. Gdy Kane doskoczył do niego, Missa podniósł miecz i jednocześnie pchnął przeciwnika sztyletem. Trzymając puginał, prawa ręka Kane'a nie była na tyle sprawna, aby odparować cios. Klnąc z wściekłości Kane cisnął puginałem w Waldańczyka. Rzut nie był celny, ale Dron Missa, uchylając się, stracił na chwilę możliwość obrony. Miecz Kane'a spadł na jego ramię, niemal odcinając rękę. Drugie uderzenie wyrwało mu z ręki broń. Ciężko ranny i uzbrojony tylko w sztylet Missa patrzył, jak Kane z jakąś nierzeczywistą powolnością zadaje śmiertelny cios. Zostały mu ułamki sekund. Raz jeszcze uchylił się przed spadającym nań ostrzem i rzucił się do jeziora. Zimna woda i ciemności zamknęły go w swoim uścisku.

Wynurzywszy się na powierzchnię zaczął niezdarnie płynąć. Rany silnie krwawiły i w wodzie były jeszcze bardziej dokuczliwe. Nie były jednak śmiertelne, można je było wyleczyć i za kilka miesięcy Missa znów mógłby wziąć miecz do ręki i walczyć. Lecz walczyć już pod rozkazami innego pana.

Obłąkane misje Krzyżowca dawały dobry dochód, ale lord Gaethaa nie kupił przecież jego życia. Missa znał pojęcie lojalności i obowiązków najemnika względem jego pana, ale tylko w granicach rozsądku. Wyprawa przeciwko Kane'owi od samego początku obciążona była jakimś przekleństwem losu i Dron Missa zdecydował, że nadszedł czas na dyskretne wycofanie się. Bogowie dali mu szansę. Świętokradztwem było by jej nie wykorzystać.

Spojrzał do tyłu na niezgrabną sylwetkę, rysującą się na tle nasypu.

– Idź do diabła, Kane! – krzyknął i zniknął we mgle. Gdy lord Gaethaa usłyszał pierwszy krzyk Missy i szczęk broni, spojrzał w kierunku nasypu nie wierząc własnym oczom. Powoli zaczęła do niego docierać niesamowita prawda – Kane żyje! Diabeł nie zginął w płomieniach, jakieś czary pozwoliły mu uciec. Wiedźma skłamała, aby całkowicie uspić ich czujność. Teraz Kane powrócił. Ile jeszcze razy uda mu się oszukać śmierć!

– Alidorze, zabij tę przeklętą czarownicę i wracaj tu szybko – krzyknął ostrym głosem, obserwując pojedynek. – Alidorze, biegnij! Kane żyje, zaatakował Missę na murze.

Zapominając na moment o Rehhaile Alidor pobiegł do swojego pana. Już z nim popędził w kierunku muru, ale odległość była zbyt wielka i dotarłszy do nasypu, mężczyźni ujrzeli jak Dron Missa spada i pogrąża się w wodach jeziora.

– Missa też. – Lord Gaethaa zaklął z wściekłością. – Teraz zabił Missę. Walczymy chyba z samym Panem Tloluvinem. Ale zostało nas jeszcze dwóch. Damy Kane'owi spróbować naszego żelaza, zanim wstanie słońce.

Gdy wspinali się na mur, Kane zniknął już gdzieś we mgle.

– Uciekł nam, milordzie – powiedział Alidor, oszołomiony. – Nie chce walczyć otwarcie nawet z dwoma przeciwnikami.

– Nie – syknął lord Gaethaa, a jego oczy rozjarzyły się. – Spójrz na te kamienie. Krew! Kane jest ranny. Missa nie zginął na próżno. Nie ważne w tej chwili, czy rana jest śmiertelna. Teraz go dopadniemy. To są ślady, które nas zaprowadzą.

Lecz krwawa ścieżka urwała się, gdy przeszli niewielki odcinek drogi ulicami Sebbei. Było już jasno. Lord Gaethaa ze smutkiem stwierdził, że rana Kane'a nie była tak poważna, jak miał nadzieję. Niezależnie od tego, jak bardzo Kane był osłabiony, był przecież w stanie zatamować krew. Teraz ukrył się gdzieś znowu w tym labiryncie miasta umarłych.

– Próbuje dalej – ciężko powiedział lord Gaethaa – nie osiągnęliśmy niczego. Znowu musimy szukać Kane'a w tym przeklętym mieście duchów. Od dzisiaj tylko nas dwóch poluje na tygrysa. W ten sposób nigdy nie zniszczymy Kane'a.

Alidor spojrzał z zakłopotaniem na swojego pana. Nigdy wcześniej nie słyszał w jego głosie takiego tonu rozpacz. Krzyżowiec oparł podbródek na swojej pięści i pogrążył się w myślach. Jego długa twarz pokryła się zmarszczkami, gdy rozważał wszystkie strategie, stosowane w poprzednich kampaniach.

Nagle jego twarz rozpogodziła się i lord Gaethaa zaśmiał się triumfalnie.

– Nie zrobiliśmy jeszcze wszystkiego – krzyczał. – Spalimy to przeklęte miasto!

– Spalić Sebbei? – wybuchnął przerażony Alidor.

– Tak, spalimy wszystko. Kane ukrywa się w tych pustych budynkach. Wykurzymy go stamtąd ogniem. Thoem raczy wiedzieć, jak udało mu się uciec z tego magazynu, ale nic mu nie pomoże, jeśli całe Sebbei będzie w płomieniach. Zginie wraz z miastem, albo ucieknie na otwartą przestrzeń. Nawet jeśli z początku go zgubimy, wytropienie go po śladach będzie dziecinnie proste. Dopadniemy go jeśli nawet będzie próbował przedrzeć się przez Lonman. Jest ranny, nie dojdzie daleko. Teraz my przejmujemy inicjatywę.

– Milordzie Gaethaa – protestował Alidor. – Lord nie mówi poważnie. Spalić całe miasto, żeby zabić jednego człowieka? A co z mieszkańcami?

– Mają spróchniałe kręgosłupy. Nie martw się o nich. Zapalimy kilka budynków, wiatr zrobi resztę. Zdamy to zrobić, zanim ktokolwiek tu podniesie rękę. Nie sądzę, żeby ktoś miał chęć nam się sprzeciwić. Możemy im powiedzieć, że to Kane rozniecił pożar; może to wytrąci ich z tej ościężałości i powiedzą nam, gdzie się ukrywa, choć jest to raczej wątpliwe.

– Nie, nie możemy zrównać z ziemią całego miasta po to, żeby zniszczyć Kane'a. Ci ludzie zginą, a w najlepszym razie stracą wszystko, co posiadają.

Lord Gaethaa niecierpliwie wzruszył ramionami.

– Miasto nie liczy sobie więcej niż kilkuset mieszkańców. Większość bez trudu ucieknie. Jest dość opustoszałych miast, do których mogą się przeprowadzić. Nie traćmy czasu na uzalanie się nad nim. Nie spełnili swojego obowiązku wobec rodzaju ludzkiego. Są winni śmierci wszystkich moich ludzi, są zdrajcami sprawy dobra. Wykurzenie tych szurów z ich śmierzących nor jest dla nich sprawiedliwą karą. Chodźmy, Alidorze – tracimy czas.

Alidor chwycił lorda Gaethaa za ramię i odwrócił go do siebie.

– Ale spalić całe miasto dla jednego człowieka! Kane nie jest tego wart.

Blednąc z wściekłości. Krzyżowiec odepchnął porucznika.

– Kane nie jest wart! – ryknął. – Alidorze, straciłeś rozum. Przejechaliśmy pół kontynentu, żeby zgładzić tego demona. Wszyscy twoi towarzysze oddali swoje życie za tę sprawę, i po wszystkich tych trudach i ofiarach człowiek, którego mamy zabić, wciąż ze mnie szydzi. Nawet sto miast gotów jestem zburzyć, jeśli będzie to potrzebne. Tak, uważam, że cena jest niska, wobec zła, jakie ten człowiek wyrządzał i jakie wyrządzi jeszcze ludzkości, zanim nie zostanie zabity. Cóż znaczy to miasto duchów w porównaniu z dobrem całego rodzaju ludzkiego!

Logika tego wyводу była niezaprzeczalna, ale Alidor wciąż był nie pogodzony.

– Ale taka strategia może okazać się całkowicie nieskuteczna – powiedział słabym głosem. – Kane bez trudu ucieknie z miasta. Nie jesteśmy w stanie pilnować wszystkich bram, poza tym zostaje jeszcze droga przez mur. Ulotni się z Sebbei i nigdy już nie odnajdziemy jego śladów.

– Generał, który wierzy w niezawodność swojej strategii, jest głupcem – rzekł lord Gaethaa. – Pokaż mi lepiej plan, to posłucham twojej rady. Musimy sobie powiedzieć, że Kane pokonał nas w tej grze w kotka i myszkę. Lepiej niż my zna Sebbei, więc czekał tylko, aż wpadniemy w jego pułapkę. Straciliśmy wczoraj sześciu ludzi, nie możemy teraz zaczynać we dwójkę. Musimy zmusić go do wyjścia na otwartą przestrzeń. Do diabła, Alidor, co się z tobą dzieje? Straciłeś swoje ideały i nerwy jednocześnie?

Alidor miał zamęt w głowie. Gdzieś za nimi rozległo się wołanie:

– Alidorze, co robisz? Czy sprzedałeś całkiem swoją duszę lordowi Gaethaa? Ten szaleniec wyrządził wraz ze swoją bandą więcej zła niż Kane przez całe życie. Pomożesz mu teraz zniszczyć Sebbei i jego nieszczęsnych mieszkańców po to, żeby zabić Kane? Alidorze, jeżeli w twojej duszy zostało cokolwiek ludzkiego, odejdz od tego człowieka. Zatrzymaj go, zanim zgładzi jeszcze więcej ludzi w imię swojego bezlitosnego dobra.

– Ach, słyszę tę wiedźmę – wyszeptał lord Gaethaa. – Ten sam obłudny głos, który mówił mi o śmierci Kane'a. Oto zniwo fałszywego miłosierdzia. Teraz wszystko jest jasne. Wiedźma omotała mojego porucznika, rzuciła jakiś urok na jego duszę, uwiodła go, aby służył ciemnym siłom zła.

Wyciągnął miecz i podszedł do niej powoli.

– Chodź w moje objęcia, wiedźmo – syknął. – Myślę, że tym razem przeceniłaś moją krótkowzroczność i swoją moc. Alidor zagroził mu drogę.

– Nie, milordzie. Ona nie jest czarownicą.

Lord Gaethaa odsunął go, mówiąc z żalem w głosie:

– Jesteś opętany, postradałeś rozum. Odsuń się, uratuję cię jeszcze moim mieczem, posyłając tę wiedzmę do piekła, któremu służy. Na twarzy Alidora pojawił się wyraz determinacji. On także wyciągnął swój miecz,

– To nie jest opętanie, milordzie, a Rehhaile nie jest czarownicą. Zrozumiałem, że ona mówi prawdę, pojąłem te wszystkie złe przeczucia i wątpliwości, jakie dręczyły mnie przez ostatnie miesiące. Nie pozwolę zabić tej niewinnej dziewczyny...

– Niewinna dziewczyna! To wiedźma. Okłamała cię. Pomagała Kane'owi od początku.

– ... ani nie pozwolę spalić tego miasta. Chodźmy, milordzie, wyjeżdżamy z tego kraju umarłych. Wrócimy do Kamathae, zgromadzimy nową armię i przybędziemy tu znowu z wystarczającymi siłami aby zgładzić Kane'a.

– To niemożliwe – Kane wie, że chcę go zabić. Ukryje się gdzieś, gdzie nikt go nie znajdzie. Zapewni sobie obronę wszystkich ciemnych mocy, których nigdy nie uda się pokonać. Odsuń się, Alidorze, wybaczę ci tę niesubordynację.

– Przykro mi, lordzie Gaethaa – powtórzył wolno – możesz, panie zniszczyć miasto i zabić Rehhaile, ale w pierw musisz zabić mnie.

Lord Gaethaa krzyknął z nagłą wściekłością.

– To jest zdrada! Jeśli jesteś po stronie sił zła, przeciwko zimmemu światłu dobra, zostaniesz przez to światło zmiądzony. Zejdź z mojej drogi!

– Niech pan mnie nie zmusza, abym podniósł na pana miecz, milordzie – ostrzegł Alidor.

– Jesteś głupcem! – wrzasnął Krzyżowiec i zamachnął się mieczem.

Alidor odskoczył do tyłu, decydując, że ograniczy się do obrony. Jego dusza, targana sprzecznymi uczuciami, bliska była całkowitego rozbicia. Zawalił się nagle cały jego wszechświat. Stawał teraz do walki z człowiekiem, za którego jeszcze godzinę temu gotów był oddać życie. Sprzeciwił się ideałom, którym przysiągł był służyć do końca swoich dni. Kierując się już wyłącznie instynktem samoobrony, odparował atak lorda Gaethaa. W tym stanie umysłu nie mógł bronić się skutecznie. Pierwsze uderzenie miecza rozpruło mu bok, drugie – roztrzaskało hełm. Alidor upadł na ziemię, oślepy od zalewającej mu oczy krwi. Czuł, jak pod czaszką narasta wielka czarna chmura. Z bardzo daleka, usłyszał płacz dziewczyny.

Lord Gaethaa spojrzał na porucznika, wciąż jeszcze z obłędem w oczach.

– Przepraszam, Alidorze – zaczął z żalem – byłeś dla mnie jak brat, przyjaciel w tylu bojach. Ale muszę cię teraz zabić, aby odrzucić ten zły urok, który mi cię odebrał. Będę cię zawsze wspominał jako wiernego i odważnego porucznika, którym dla mnie byłeś.

Wzniósł miecz, aby zadać śmiertelny cios.

– Legendy mówią o przekleństwie, które ciąży na Kanie. Mówią, że każdy, kto go spotka na swojej drodze, musi zginąć. Teraz rozumiem prawdę zawartą w tych opowieściach. Żegnaj Alidorze. Bądź pewny, że zostaniesz pomszczony.

– Zabij go, jeśli chcesz, ale nie przypisuj zasługi uśmiercenia go mnie. Jest dla mnie kłopotliwe przyjmować względy od człowieka, którego za chwilę zabiję – powiedział jakiś szyderczy głos. – Jeśli ci trudno zabić przyjaciela, to zostaw go na chwilę, a ja to zrobię, gdy już skończę z tobą.

Lord Gaethaa odwrócił się. Przed nim stał Kane. Wynurzył się z mgły, owinięty w potargane bandaże, z morderczym błyskiem w oczach.

– Więc tygrys wyszedł z kryjówki – mruknął lord Gaethaa. – Myślałem, że będę musiał wykurzyć cię z twojego legowiska. Ale teraz nasza gra zbliża się do końca i słusznym jest, że główni gracze

spotkali się w końcu. Kosztowałeś mnie wielu ludzi, Kane, i musisz ponieść karę za to i za stulecia zbrodni, które szły za tobą jak cień.

– Popeliłeś całkiem sporą liczbę niegodziwości, jak na tak krótkie życie, zbliżające się do końca – zadrwił Kane, wznosząc miecz.

Lord Gaethaa ruszył do przodu. Zderzyła się stal. Kane odrzucił przeciwnika do tyłu i nóż w drugiej ręce lorda Gaethaa trafił w próżnię. Cios padał za ciosem. Kane nie mógł używać prawej ręki, ale nieprawdopodobna szybkość jego ruchów przechylała szalę na jego korzyść.

– Wezwij na pomoc siły zła – zaszydził lord Gaethaa, widząc na bandażach Kane'a rosnącą plamę krwi. Rany się otworzyły i przeciwnik wkrótce znacznie słabnąć. – Twój ciemny bóg opuścił cię, bo zło zawsze ustępuje przed niezwykłym mieczem dobra.

– Nie służę żadnym bogom, ani innym przegranym sprawom – powiedział Kane. – A ty nie oszukuj się, mówiąc, że jesteś niezwykły. – Wykonał niespodziewany ruch i z policzka lorda Gaethaa popłynęła krew. – Pierwsza krew – zaśmiał się.

Mężczyźni walczyli w milczeniu, dysząc ciężko. Lord Gaethaa był trudnym przeciwnikiem, obciążonym niespożytymi siłami i wielkimi umiejętnościami szermierzem. Ponadto był względnie wypoczęty, podczas gdy Kane tracił siły w wyniku ran odniesionych w poprzednich starciach. Wciąż jednak bronił się pewnie. Obaj walczyli zaciekle, każdy z nich przekonany, że uda mu się doprowadzić przeciwnika do kresu sił. To nacierali na siebie, to znów odskakiwali. Lord Gaethaa zaatakował sztyletem; w tym samym momencie Kane rzucił pugnałem. Krzyżowiec odskoczył, ale przeciwnik chwycił go za przegub, zmuszając swoje osłabione mięśnie do najwyższego wysiłku. Wykręcił rękę, z głośnym chrzęstem łamiąc kości przedramienia. Lord Gaethaa złapał oddech i z dziką desperacją uderzył mieczem, celując w trzymające go ramię. Kane zwolnił uścisk i cofnął się. Miecz ze świstem przeciął powietrze. Wykorzystując tę chwilę, gdy przeciwnik był bezbronny, potężnym ciosem rozłupał jego tułów. Uderzył powtórnie. Głowa lorda Gaethaa spadła na bruk i podskoczyła jeszcze dwukrotnie, wydając pusty odgłos.

Kane stał przed leżącym w groteskowej pozie ciałem Krzyżowca, oddychając ciężko wielkimi haustami powietrza. Cienkie stróżki pary unosiły się jeszcze z ociekającego miecza i poplamionych krwią kamieni. Zmieszane z jego gorącym oddechem rozplływały się, niknąc w porannej mgle.

Staniając się z wyczerpania, Kane spojrzał na leżącego na bruku Alidora. Marszcząc brwi ruszył w Jego kierunku.

– Nie, Kane – Rehhaile stanęła w obronie żołnierza. – Proszę, nie zabijaj go. Alidor kilkakrotnie ocalił mnie przed tymi mordercami. Oszczędź go dla mnie. Proszę, Kane. On nie podniesie na ciebie ręki.

Kane chwiał się, stojąc przed nimi ze wzniesionym mieczem, wciąż jeszcze opanowany żądzą zabijania. Alidor patrzył na niego pusto. Jego twarz zastygła w pozbawioną wyrazu maskę. Nie wykonał żadnego ruchu, aby się obronić czy uciec. Kane opuścił miecz, wzruszając ramionami. Wyraz krwawego pożądania zniknął już z jego twarzy, tłąc się jedynie w oczach, gdzie nie wygasł nigdy.

– Dobrze, Rehhaile – powiedział – daję ci go. Ale wątpię, czy twoja litość będzie coś dla niego znaczyć. Zdaje się, że Gaethaa całkiem zagnieździł się pod tą wielką czaszką.

– Nie, Kane. Ten człowiek ma jeszcze duszę. Potrafię wyleczyć jego obolałe serce.

– Więc dobrze – Kane uśmiechnął się ze smutkiem – nie ma więc sensu namawiać cię, żebyś poszła ze mną. Rozumiem. Odchodzę, Rehhaile. Mam już dość życia wśród duchów. Wciąż pociąga mnie przygoda. Twoje towarzystwo było dla mnie bardzo interesujące, naprawdę. Jestem ci wdzięczny.

– Żegnaj, Kane – powiedziała miękko Rehhaile, odwracając swój umysł od świata jego myśli i uczuć.

Kane mruknął jeszcze coś, czego nie usłyszała i oddalił się pustą ulicą. Jego odejście śledziły duchy. Odejdź z Dermonte, krainy umarłych; ze świata cieni, gdzie mieszka śmierć, a życie nie może się rozwijać.

Alidor poruszył się. Usiadł z trudem i sięgnął po swój miecz. Drżącą ręką przytknął jego ostrze do swojej piersi. Jego wszechświat leżał w gruzach. Zawaliły się jego niewzruszone przekonania, niezaprzeczalne prawdy. Jaki sens miałoby życie, gdy bogowie umarli?

– Alidorze, nie – jęknęła Rehhaile wyczuwając, co chce zrobić. – Nie rób tego, błagam. Chcę, żebyś żył. Razem opuścimy tę krainę umarłych i zamieszkamy w normalnym świecie,

– Myślałem, że idę za zimnym, czystym światłem dobra – powiedział Alidor. – Zamiast tego służyłem zimnemu światłu śmierci.

Ostrze miecza wciąż dotykało jego piersi. Znaleźć zapomnienie w śmierci? Wrócić do życia, w raz z Rehhaile? Jego dusza była zbyt chora by zdecydować.

# Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA.. 1](#)

[MIRAŻ.. 4](#)

[PROLOG.. 4](#)

[I LAS NOCĄ.. 5](#)

[II PO DRUGIEJ STRONIE LASU.. 8](#)

[III ALTBUR KEEP. 9](#)

[IV WŁADCZYNI ALTBUR KEEP. 11](#)

[V OTCHŁAŃ MIRAŻU.. 14](#)

[VI POWRÓT. 16](#)

[ZIMNE ŚWIATŁO.. 22](#)

[PROLOG.. 22](#)

[I ZIEMIA ŚMIERCI. 23](#)

[II ŚMIERĆ WRACA DO DERMONTE.. 25](#)

[III KRĘGI NA WODZIE.. 26](#)

[IV KRZYŻOWIEC W SEBBEI. 28](#)

[V OSACZYĆ TYGRYSA W JEGO KRYJÓWCE.. 32](#)

[VI MIECZ ZIMNEGO ŚWIATŁA.. 38](#)

[VII RANIONY TYGRYS. 41](#)

[VIII ZGŁADZIĆ SŁUGĘ ZŁA.. 44](#)

[IX ŚMIERĆ UKRYTA W CIENIU.. 47](#)

[X KRAINA UMARŁYCH.. 53](#)